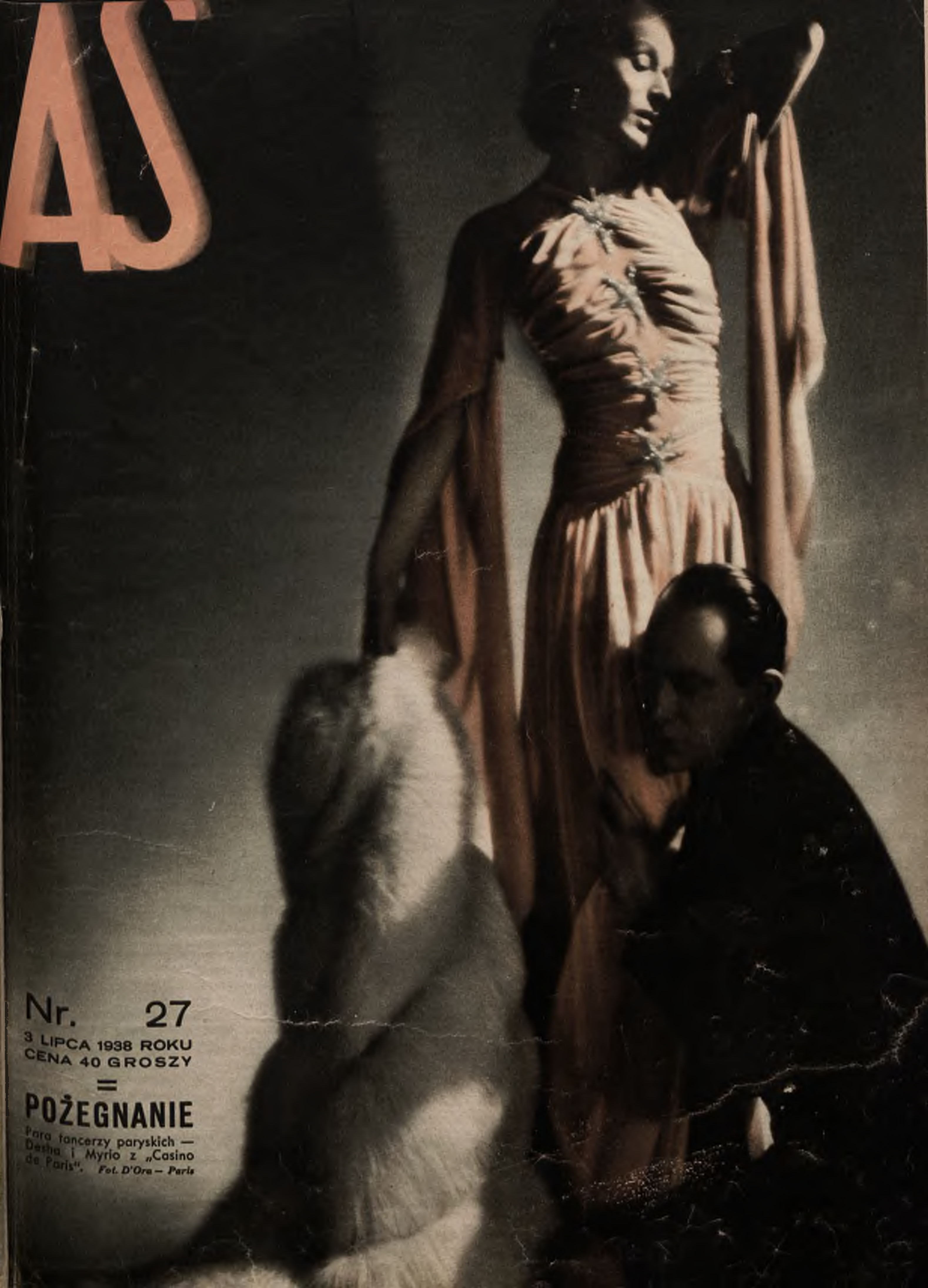
AS



Nr. 27
3 LIPCA 1938 ROKU
CENA 40 GROSZY

POŻEGNANIE

Para tancerzy paryskich — Desha i Myrio z „Casino de Paris". *Fot. D'Ora — Paris*

lipiec 1938

KALENDARZYK AS'a
co ludzi interesuje w tym miesiącu?



1. PRACUJESZ W BIURZE — ODPOCZYWASZ NA MORZU. Nadszedł okres straszliwych upałów. Termometr skacze w górę jak opętany. Marzysz więc o wyjeździe. Afisz biura podróży przypomina Ci, że „pracujesz na lądzie, a odpoczywasz na morzu". W takie upalne dni jednak nawet na lądzie pracować nie możesz. Rozczytujesz się w prospektach biur podróży. Wabi cię perspektywa podróży przez dziesięć stolic Europy. Tylko musisz się pośpieszyć, bo nie wiadomo, czy te wszystkie stolice będą tak samo stolicami za dwa tygodnie. Jadąc zaś przez morza, pamiętaj o blokadzie wybrzeży hiszpańskich. Dziś i na morzach jest także gorąco.

2. MIÓD LIPCOWY. Miło jest w chłodnej piwnicy spijać słodki miód lipcowy. Starsi panowie przy lampkach miodu — przeżywają ponowne „miodowe miesiące". Piją zdrowie pszczół, które pracowicie zbierały słodycz, którą obecnie zamieniono w smakowity płyn.

3. OKRES WĘŻÓW MORSKICH. W redakcjach nadchodzi okres kanikuły. Nic się nie dzieje. Politycy wyjeżdżają na wakacje, a sztaby generalne z powodu upału odkładają wojnę do jesieni. Sądy zamykają swe podwoje, a przestępcy nie mają najmniejszej ochoty na wysilanie się na nowe pomysły. W takich dniach straszliwej kanikuły rodzi się w mózgach dziennikarskich wąż morski. O wężu morskim można pisać przez parę tygodni, zanim znowu nie wybuchnie jaka ciekawa wojna albo wielki skandal w jakiejś rodzinie arystokratycznej. Potem można wytłumaczyć, że był to prawdziwy wąż, który pojawił się u wybrzeży szkockich, gdyż uciekł z kieszeni pewnego Szkota. Czytelnicy lubią historje o wężu morskim, gdyż myślą o morzu i to ich trochę ochładza. Ostatecznie lepiej jest pisać o wężu morskim, niż naprzykład o nowych planach politycznych, w które i tak nikt nie wierzy.

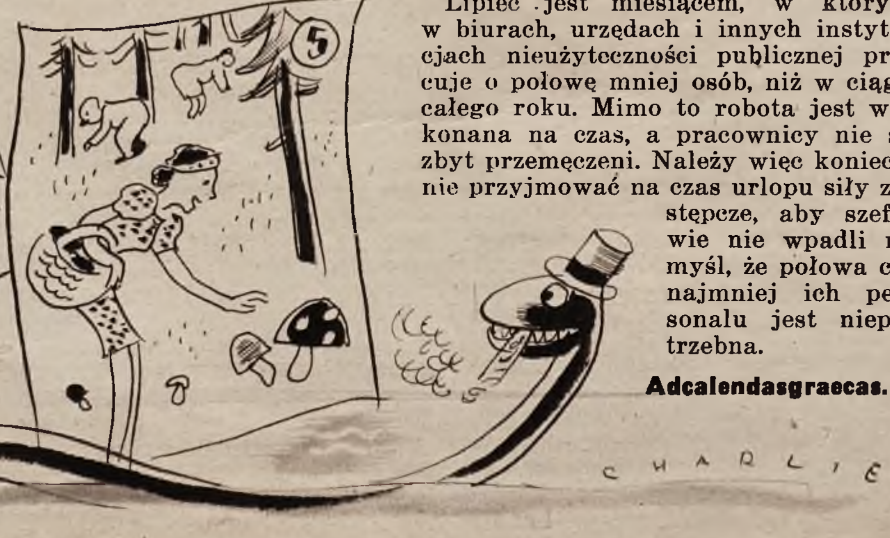
4. WAKACJE PARLAMENTARNE. Wszystkie parlamenty świata zamykają swe podwoje. Deputowani, posłowie, senatorowie, lordowie — rozjeżdżają się w góry, nad morze. Zamiast łowić ryby w mętnej wodzie politycznej, poświęcają się pięknemu sportowi wędkarskiemu, który jak wiadomo koi nerwy. Wakacje parlamentarne podobne są do wakacyj szkolnych. Posłowie, podobnie jak uczniowie, nie wiedzą, co ich czeka po wakacjach i czy ich szkoła względnie ustrój parlamentarny nie ulegnie zasadniczej reformie. Mimo to jednak wakacje powinno się spędzać beztrosko. Przecież i za uczniów i za parlamentarzystów przeważnie myśli kto inny.

5. LEŚNE WYCIECZKI. W czasie pobytu na wsi dobrze jest wybrać się czasami do lasu. Zbierając grzyby należy pamiętać, że pewne gatunki grzybów są trujące. Do gotowania raczej nadają się gatunki grzybów jadalnych. W lesie zbiera się jagody, szuka się kwiatu paproci, czyli szczęścia.

* * *

Lipiec jest miesiącem, w którym w biurach, urzędach i innych instytucjach nieużyteczności publicznej pracuje o połowę mniej osób, niż w ciągu całego roku. Mimo to robota jest wykonana na czas, a pracownicy nie są zbyt przemęczeni. Należy więc koniecznie przyjmować na czas urlopu siły zastępcze, aby szefowie nie wpadli na myśl, że połowa conajmniej ich personalu jest niepotrzebna.

Adcalendasgraecas.



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA W CZECHOSŁOWACJI Kc. 2.50

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 27 **Niedziela, 3 lipca 1938** **Rok IV**



Fot. Schert — Berlin.

W Pałacu Sztuk Pięknych w Brukseli odbyła się ostatnio premjera filmu olimpijskiego, na której zjawił się król belgijski Leopold III. i liczni reprezentanci świata towarzyskiego i dyplomatycznego. Król zaprosił do swej loży propagatorkę niemieckiego filmu Leni Riefenstahl, oraz posła niemieckiego bar. von. Richthofena i jego małżonkę, z którymi dłuższy czas rozmawiał.

W Damaszku



U góry: Wspaniałe dekoracje posiada grobowiec jednego z członków rodziny Mahometa.



Resztki dawnego wejścia do bazyliki katolickiej w Damaszku — obecnie meczetu Omajadów.

Poniżej: Dziedziniec meczetu Omajadów w Damaszku.



U dołu: Wnętrze meczetu Omajadów z grobem św. Jana Chrzciciela.



Idealnie gładka asfaltowa szosa Beyrouth—Damaszek. 120 klm. przez dumny, wprawdzie ogołocony już z cedrów doszczętnie, lecz jakże jeszcze poetyczny, majestatyczny Liban i Anty-Liban. Urocze doliny górskie i rozsiadłe w nich charakterystyczne kamienne miasteczka i wioski. Faluje złociste zboże, zielenią się winnice, dziko spoglądają szare skały. Pod granatowem niebem Bliskiego Wschodu, w potokach gorących promieni słonecznych nie potrzeba marzyć o pięknie. Widzi się je, dotyka, pochłania.

Tu, w cieniu wysmukłych pinij, wśród omszałych murów krzyżowe czasy pamiętającego klasztorku tworzył Słowacki. Anhelli się tu narodził...

Piękna, spowita szumem drzew i potoków górskich dolina, gdzie w cieniu kamiennych ścian, pod złotym baldachimem śpi wódz arabski, co z szablą w ręku na pięknym rumaku szarżował szare i twarde jak okoliczne skały samochody pancerne Francuzów i poległ osłaniając piersią swą pierwszego króla arabskiego Fajsala. Fajsal uciekł przez pustynię do Bagdadu, a nad grobem poległego bohatera, młodzież arabska wznosi modły o zwycięstwo wolności...

Delikatnie szumią drzewa, gwiżdże gdzieś w dali zjeżdżająca z iście niebotycznych dla niej szczytów pól zębata półwąskotorowa kolejka i nagle skały uciekają do tyłu, robiąc miejsce szerokiej, ocienionej alei — bramy wjazdowej do prastarej stolicy Omayadów — Damaszku.

Znamy tę nazwę. Niejedna „damasceńska" klinga przywieziona przez przodków z dalekich wypraw za rubieże Rzeczypospolitej, przechowywana jest jak relikwja w naszych domach, przypominając o sławie wielkiej, od morza do morza sięgającej Ojczyzny. Trudno doprawdy prostować, jak wielka jest pomyłka w samej nazwie „damasceńska".... Nazwa ta przylgnęła do kling wschodnich jedynie z tego powodu, że pierwsi Krzyżowcy właśnie w Damaszku znaleźli największe zapasy tej broni, wyrabianej jednak głównie w Persji. Nazwa jednak została i przeszła do historji — dosłownie, gdyż dziś damascenek nie wyrabia się już.

Damaszek! Białe, strzelające w niebo wysmukłemi minaretami lub kwadratowemi fasadami nowoczesnych kamienic miasto, którego tło tworzy szaro-brązową, beznadziejną swoją golizną góra, u której stóp, jak symbol ucisku i niewoli sterczą resztki sławnej cytadeli. Stąd w r. 1926 Francuzi bombardowali zbuntowane miasto. Gdyby Druzowie zdobyli wówczas cytadelę, skończyłoby się panowanie francuskie w Syrji. Nie zdobyli jej jednak. Zabrakło im sił, nie odwagi, gdyż tej mieli aż za dużo, rzucając się z gołemi rękoma na karabiny maszynowe. Cytadela ostała się, jak i nie znikła z niej trójbarwna flaga, łopocąca nad prastarą stolicą arabską.

Na ulicach nie obcy każdemu wschodniemu miastu wrzask. Każdy mówi głośno, gestykuluje, chce drugiego przekrzyczeć. Poza czerwonemi fezami i kurdyjskiemi turbanami nic oryginalnego. Pachnie przedsionkiem Europy. Nawet czarne „czadry" muzułmanek, i długie koszule szanujących się Syryjczyków stają się z dnia na dzień coraz mniej aktualne. W modę wchodzą drelichowe mundury i pickelhauby „stalowych koszul", najmłodszej, nacjonalistycznej organizacji syryjskiej, starodawne „saalam" (powitanie) zastępuje z powodzeniem faszystowskie pozdrowienie, miast araku — whisky, miast tańca brzucha — półnagie girlaski.

By zobaczyć Wschód, trzeba iść na bazar, dać się wchłonąć przez długą, kończącą się wejściem do meczetu Omayada ulicę, posiadającą niezliczone odnogi, zakamarki, zaułki. Blaszany dach otula wszystko przyjemnym cieniem, byłby może i względny chłód, gdyby nie nieznośny zaduch wszelkich możliwych i niemożlwych zapachów.

Bazar — to serce miasta. Długie szeregi sklepów przepełnionych tandetą „made in Europe". Nie brak i oryginalnych rzeczy, przeznaczonych na eksport, lecz i wśród nich coraz mniejszy wybór. Nie darmo tysiące turystów przewija się tędy, kupując ile się da.

Gdzieś z boku kwadratowa rudera. W środku w wielkiej hali bazar złotników. Stolik przy stoliku, pancerna kasa przy drewnianej skrzyni. Złoto, drogie kamienie... Kusi i nęci, a przytrzymujący za rękaw kupiec ani myśli puścić. Tak tu już jest. Wyrwać się kupcom nie można. Opadają każdego turystę, niczem zgraja wygłodniałych psów, szarpią, wrzeszczą, wyrywają....

Trzeba się schronić w poważne mury meczetu Omayadów.

Największa świątynia muzułmańska na Bliskim Wschodzie, niegdyś bazylika chrześcijańska. Dziś jeszcze widać na murach bajecznie kolorowe resztki mozaik, z których jednem okiem (drugie odłupane) spoglądają poważni dostojnicy kościoła... dziś jeszcze piękne głowice kolumn podtrzymują podcienie lub walają się na obszernym dziedzińcu, służąc za miejsce wypoczynku strudzonym modlitwą wiernym. Minarety wznoszą się na dawnych dzwonnicach, zaś wewnątrz wśród lasu kolumn (jedna z nich jest sprowadzona z samej Mekki), sięgając po puszystych, bezcennych dywanach dochodzi się do miejsce, gdzie nietylko muzułmanin schyla kornie czoło... We wspaniałym grobowcu, pod kopułą, pod tkanym złotem zielonym dywanem, spoczywa głowa św. Jana Chrzciciela. Świętość dwóch religij, nieustający powód sporu między Watykanem a władzami muzułmańskiemi. Dla nas św. Jan jest apostołem — dla muzułmanów wielkim prorokiem, poprzednikiem Mahometa. Pochodząc z Arabji, był Arabem (nie żydem), mieszkał nawet ponoć w samej Mecce. Spór toczy się oddawna, lecz w zasadzie nie dowiedziono jeszcze, czy wogóle głowa św. Jana rzeczywiście znajduje się w swoim grobowcu Nie można tego sprawdzić Fanatyczny tłum nigdyby nie dopuścił do podobnej profanacji. Najbardziej wpływowy mułła nie zdobyłby się na podobny czyn.

„La illa el Allah, Mohamed rossul Allah..." rozlega się przeciągły śpiew dwunastu muezinów, wzywających z minaretu na połu-

dniową modlitwę. Chylą się pokornie głowy wiernych, bijąc o kamienną posadzkę podwórca meczetowego...

Obok meczetu, skromnie, w niewielkim grobowcu, pod granatową, usianą setkami złotych gwiazd kopułą, w cieniu srebrnych, ofiarowanych przez królowę Wiktorję lamp, śpi snem wiecznym największy bodaj władca Arabji — Wielki Salladyn, pogromca Krzyżowców.

Obok, pod murem, trzy dziwnie nowoczesne mogiły, jakże nie pasujące do snującej się wokoło tradycji wieków: Nad sterczącemi ku niebu kamiennemi płytami umocowano strzaskane śmigła... Pierwsze ptaki pustyni tu legły.

Miasto żyje, drga wrzawa — nawet w meczecie nie można już spokoju znaleźć, gdyż na wielkim podwórzu odbywa się zebranie polityczne.

Trzeba iść dalej, aż za dawne mury miasta, na wielką przestrzeń, zasłaną sterczącemi kamiennemi płytami, przysadzistemi kopułami, omieciona przez wiatry, pełna kurzu i piasku — na cmentarz muzułmański.

Stary, brzuchaty mułła otwiera wielkim kluczem drzwi. Pod wykładanym kolorowemi kaflami stropem, wśród świętych chorągwi i zapachu kadzidła śpi snem wiecznym któryś z członków familji proroka Mahometa. Gdzieś dalej, wąskiemi schodkami schodzi się do podziemi. Czarny, kamienny blok, którego ściany pokryte są na drzewie rzeźbionem pismem, tak starem, że odczytać je dziś już nie można. Inne słowa, inne litery... Wszystko za szkłem. Kiedyś Niemcy chcieli wszystko ukraść do muzeum w Berlinie — nie udało się, a dziś już dobrze pilnują.

To święte miejsce. Grób F a t i m y, córki Mahometa.

Na żelaznej kracie, odgradzającej grobowiec od przedsionka wiszą strzępy gałganków. Podobno muzułmanki, przychodzące się modlić do swojej patronki, wieszają tu skrawki odzieży — by Fatima pamiętała o ich prośbach.

Długie szeregi podłużnych kopców, nad któremi sterczą płaskie tablice lub proste, źle ociosane kamienie. Słońce praży niemiłosiernie. Groby są stare, zapadłe nad świeżemi gromadzą się jeszcze krewni, płaczki...

Wielkie pole umarłych.

Znowu kopuła, strażnik, wielki klucz — na żelaznych drzwiach dwanaście napisów. Tu leżą głowy dwunastu wodzów sunnickich, poległych w wojnie z ismaelitami, muzułmanami z jednego pnia, a jednak niena widzonemi gorzej od psów. Dziś, gdy w Damaszku panują sunici (sekta muzułmańska, wywodząca się od samego proroka, w przeciwieństwie do szyitów, czczących Ali'ego, męża Fatimy) ciała ismaelitów rzuca się na śmietniki, na pożarcie psom i szakalom. Minęły już czasy ich panowania. Pozostała tylko nienawiść.

Nad grobem dwunastu głów, ze złożonemi na piersiach rękoma kiwa się zapatrzony w przestrzeń derwisz. Wysoka, brązowa czapka odbija się od czerwonych fezów i turbanów. Medytuje nad marnością tego świata...

Nad miastem wisi szara, ponura góra. Na jej szczycie, według legendy śpią ludzie. Wyrośli we śnie na olbrzymów budzą się czasem i schodzą do miasta... W jednym z grobowców można oglądać nie spotykanych rozmiarów kamienną misę. Z niej to ci mahometańscy giganci jedzą i piją.

„Nie wierzy pan? Przecież o tem w Koranie napisane, więc m u s i być prawda...".

Koran jest nieomylny. Zaczynam wierzyć w śpiących na damasceńskiej górze olbrzymów — są przecież tacy i u nas, gdzieś w Tatrach... Zbudzili się z rykiem granatów i szrapneli, by wybudować Polskę — zbudzą się i tam, by na potężnych swych ramionach dźwignąć upadłe i zdeptane „Imperium Arabicum"...

Jacek Brzezina.



Zakątek współczesnego Damaszku, który zarówno pod względem architektonicznym, jak też wegetacji jest niezwykle uroczem miastem.



Często widzi się na ulicach żołnierzy z kolonjalnych wojsk francuskich: Marokańczyk na warcie.



Oto jeden z licznych starych meczetów damasceńskich.

Wszystkie zdjęcia fot. Jacek Brzezina — Warszawa.



Liczne zaułki stanowią jedną z najbardziej charakterystycznych c e c h Damaszku.



W kole: Bazary, posiadające najbardziej różnorodne towary są dla turystów miejscem zaopatrywania się w „pamiątki z podróży".

ochrona DYKTATORÓW



Dawno przed wojną jeden z mych znajomych w pociągu wdał się w rozmowę z jedynym współtowarzyszem przedziału. Okazało się w trakcie pogawędki, że był to członek partji anarchistycznej. Oczywiście rozmowa zeszła na działalność tej partji, a specjalnie na zamachy. Memu znajomemu nasunęło się wtedy pytanie, które wielu już intrygowało: Dlaczego anarchiści tak często urządzają zamachy na panujących ogólnie lubianych, a raczej oszczędzają zupełnie nieodpowiednich na tak wysokich stanowiskach? Padło tu nazwisko Wilhelma II, a więc człowieka, który dawał nieustannie temat do mniej lub więcej zgryźliwych żartów humorystycznej prasy całego świata. Przypomnę tu kapitalny zbiór karykatur wydanych w książce pod tytułem LUI przez Carteret'a. Odpowiedź brzmiała charakterystycznie: — Staramy się zgładzić tych, którzy są argumentem za utrzymaniem monarchji, a zostawiamy przy życiu takich, którzy swem zachowaniem się ideę monarchizmu dyskredytują! To był przedwojenny punkt widzenia; teraz uwaga sfer przewrotowych skupia się na tych, którzy reprezentują władzę dyktatorską lub niewygodne zasady rządzenia. Nasuwają się tu nazwiska Hitlera, Mussoliniego, Stalina i Kemala Paszy. — Życie ich jest wciąż solą w oku ich licznych przeciwników politycznych, a o zamachach dochodzą czasem słuchy tłumione i zaprzeczane jaknajenergiczniej, ale fakt pozostaje faktem. — Jak się to dzieje, że jednak żyją i to długie nawet lata? Jakie środki stosuje się, by ich cenne życie ochronić? Na ten właśnie temat chciałbym parę słów powiedzieć.

Z dawnych czasów pamięta się, że car Wszechrosji jeździł np. powozem obitym grubą blachą stalową, że w razie użycia kolei biegły jednocześnie dwa lub więcej pociągów i nigdy nie było wiadomo, w którym siedzi władca. — Środki te były dość prymitywne i zostały w następstwie wydatnie rozbudowane.

Z ostatnich czasów wie się, że powodem udania się zamachów były karygodne zaniedbania władz policyjnych. I tak mord w Serajewie, na arc. Franciszku Ferdynandzie i żonie, stał się możliwym tylko dzięki niezwykłemu braku przewidywania ze strony generała Potiorka. Pierwszy błąd popełnił, gdy ogłosił z dokładnością co do minuty czas przyjazdu arcyksięcia. — Następnie na uwagę komisarza rządowego Węgra Gerdego, że za mało ma policji, by obstawić drogę, nie tylko nie dał wojska, ale i nie pozwolił obstawić drogi żandarmerją.

Pierwszy zamach na gości zdarzył się pod fabryką tytoniu, gdzie wysiedli z pociągu i wsiedli do auta. Tam rzucono bombę, która jednakowoż zraniła tylko adjutanta. Na zapytanie arcyksięcia, czy może dalej jechać, Potiorek odpowiedział, że tak i że on przyjmuje pełną odpowiedzialność. Wiadomo co dalej się stało!

Podobna nierozwaga umożliwiła zamach na króla Aleksandra w Marsylji. Limuzyna króla była otwarta, posuwała się krok za krokiem, a cała straż to z tyłu jadących konno paru oifcerów i z przodu kilku policjantów na rowerach. — I, gdy zarząd miasta chciał wzmocnić osłonę króla, to Sûreté Générale z Paryża odrzuciła ten projekt! Trzeba niezapominać, że rzecz działa się w Marsylji, może najbardziej niebezpiecznem mieście Europy, gdzie jak w każdym dużym porcie, zbierały się stale międzynarodowe męty, a pozatem zarząd miasta był przekonań raczej komunistycznych. To też nic dziwnego, że Czarnoziemski mógł dokonać zamachu w sposób tak „niewyszukany", skacząc na stopień auta i strzelając do króla. O zamachowcu opowiadają, że był wegeterjaninem z przekonania, bo nie chciał dawać powodu do takiego okrucieństwa, jakiem jest zabijanie zwierząt dla zjedzenia ich. — Różnemi drogami chadzają idealizmy!

Inny zamach, który udał się dzięki nieopatrzności władz, to zamordowanie Dollfussa. Wszyscy wiedzieli, że zamach wisiał w powietrzu. Wiedziano, że oprócz usunięcia Dollfussa miano pojmać i ministrów. — Licząc się z tem Mały Kanclerz odwołał posiedzenie gabinetu, ale nie zarządził żadnych ostrożności i wejście do niego nie było tak strzeżone jak należało, gdyż cała straż to była zwykła straż honorowa z nienabitą nawet bronią!

Z takich i innych wypadków wyciągnięto oczywiście wnioski. Przedewszystkiem przyjęto za zasadę: nie stwarzać okazji! Nie jestto takie proste, gdy się weźmie pod uwagę, że wymienieni na początku władcy panują nad dziesiątkami miljonów poddanych, z których spory procent jest z nich niezadowolony, a prócz tego państwa te reprezentują 2 grupy o diametralnie przeciwnych poglądach.

Zacznę od najbliższego naszego sąsiada. Hitler przenosi się z miejsca na miejsce bez zapowiedzi. Do podróży używa tylko najsilniejszego wozu jaki wytworzył Mercedes-Benz (fabryka znana z silnych wozów!) i aeroplanu. Przy kierownicy siedzi szofer, którego cechą jest, oprócz mistrzowskiego opanowania sztuki kierowania, dokładna znajomość miasteczek i wszystkich dróg wyjazdowych w Niemczech. Wymaganie to jest jasne, bo każde wahanie się, a tembardziej informowanie, w drodze za dużo nastręcza momentów niebezpiecznych. Hitler sam siedzi zawsze przy szoferze, z tyłu siedzą zaufani, doskonali strzelcy, z bronią przygotowaną do natychmiastowego użytku. Wprawdzie Hitler często stoi w wozie, gdy oddaje pozdrowienia, ale „dla pewności" ma na sobie stale pancerz kuloodporny i to jest wytłumaczeniem jego dość tęgiej figury, jaką widzimy na zdjęciach.

Dalszą zasadą jest, by nigdy nie było wiadomo, gdzie wódz się w danej chwili znajduje. Może być na jakiejś uroczystości, gdzie się niezapowiedział, a równie dobrze może go nie być na innej, gdzie go się napewno spodziewano! Prasa też przyczynia się do tej tajemniczości, bo srogo ma zakazane umieszczać jakiekolwiek wzmianki o ruchach i zamiarach wodza.

Hitler posiada także duży aeroplan Junkers, który jest jego ulubionym środkiem lokomocji. Zbytecznem jest chyba zaznaczać, że aeroplan ten jest specjalnie ostro pilnowany przez najbardziej zaufanych strażników. Podróże te wymagają dalszych ostrożności, a mianowicie pilnowania — dosłownie — powietrza. To znaczy pilnowania, by jaki obcy nieznany samolot nie wdarł się przypadkiem nad terytorjum niemieckie. Dlatego to powietrzna kontrola w Niemczech jest najsurowszą w świecie. Tembardziej, że Hitler nie godzi się na to, by jego lotom towarzyszył drugi aeroplan ze strażą.

Tak to aeroplan i samochód zwalniają Hitlera od używania kolei, a więc i budynków stacyjnych, które są przecież jakby stworzone do ułatwiania zamachów. Nawiasem dodam, że inny panujący godzi kolej z samochodem w ten sposób, że zaczyna podróż koleją, ale w drodze przesiada się na samochód i kontynuuje dalszą podróż w aucie.

Hitler ma też na usługach swych sobowtóra, który go nieraz zastępuje w mniej ważnych okolicznościach. Oczywiście mogą stąd powstawać zabawne nieporozumienia i rzeczywiście raz się tak stało, że Hitler był jednocześnie w dwóch miejscach równocześnie! Nieuważano przy ustalaniu dat i kompromitacja gotowa! Można sobie wyobrazić co biedny sobowtór musiał wysłuchać! Ryzykowanie życia to ciemna strona zawodu sobowtóra, jasną to znowu pensja. Bo też i taki pan ma dochody przewyższające znacznie pobory innych urzędników państwa. Wynalazek z sobowtórem nie jest zresztą nowy, gdyż już ostatni car miał sobowtóra, który go wyręczał w ukazywaniu się n. p. w oknie.

Czasami są chwile, gdy sytuacja w państwie jest specjalnie naprężona, w takich momentach wódz znika bez śladu na jakiś czas z widowni i nikt nie wie gdzie się może znajdować.

Dalsza ostrożność to zakaz fotografowania względnie rzucania kwiatami w wodza. Powodem tego nie jest oczywiście wrodzona skromność, lecz zupełnie co innego!

W teatrze Hitler bywa czasem, ale nikt nie wie czy i kiedy przyjdzie. Rzecz prosta, że loża jego jest pilnie strzeżona.

Mieszkanie Hitlera w Berlinie jest pilnowane przez paruset członków SS. uzbrojonych po zęby. Wiemy z gazet, że pobyt Hitlera w Rzymie był strzeżony przez tysiące policji włoskiej i niemieckiej. Wszystkie te zarządzenia są ukoronowane strachem przed represjami, jakieby nastąpiły w razie zamachu.

Dziwnem się wyda, że ten tak pilnowany człowiek bywa w kawiarni Kaiserhof w Berlinie! Ten kontakt z publicznością nie jest jednak znów tak całkiem oparty na zaufaniu do „poddanych", bo wejścia Kaiserhofu strzeże kilku czarno ubranych mistrzów-strzelców, którzy bacznem okiem śledzą najlżejsze poruszenia gości lokalu, a prócz tego stoliki sąsiednie są też zwykle puste.

Czy wszystkie te ostrożności osiągnęły swój cel i czy nie było kiedy zamachu na Hitlera — nie wiadomo. Chodzą słuchy, że zamachu dokonała raz jedna kobieta i że trafiła go w rękę. Czy tak jednak naprawdę było nie wiadomo.

Mussolini, druga z zagrożonych osób, stosuje naogół te same zasady ostrożności. — Wprowadził za swego panowania nowość w sposobie pilnowania dróg, któremi przejeżdżają ważne osobistości. Dotąd rozsta-

Dokończenie na str. 18-tej.

KĄCIK
FILATELISTYCZNY

Zbliża się już sezon ogórkowy, który może tylko dlatego jest mniej pomyślny dla filatelistyki, ponieważ w lecie przybywa mniej nowych adeptów — ale w tym okresie ukazuje się zawsze taka sama ilość nowości, jak i w innych porach roku. Poza tem turyści wyjeżdżający zagranicę chowają sobie zawsze ostatnie pieniądze na nabycie tych egzemplarzy, których w Polsce dostać nie mogli, ci zaś (słomiani wdowcy), którzy nie mogą opuścić stałego miejsca zamieszkania, mają więcej czasu na porządkowanie zbioru. Tak więc niema mowy o tem, aby filatelistyka zapadła w „sen letni", z którego obudziłyby ją dopiero we wrześniu pierwsze krople jesiennego deszczu.

W Szwajcarji, która dotąd sprawowała się nadzwyczaj solidnie i nie wydawała żadnych znaczków spekulatywnych — a klasyczne „pro juventute" cieszyły się największem uznaniem z pośród wszystkich seryj dobroczynnych — emitowano w dziwny sposób znaczek „pro aero". Normalny znaczek lotniczy za 50 rappen przedrukowano na 75 rp. i sprzedawano go po tej cenie przez... jeden dzień! Oczywiście, że przewidziano odrazu, iż pozostały zapas będzie w całości przestemplowany i rozsprzedany po znikomej części wartości nominalnej, co się też faktycznie stało. Egzemplarze czyste i te, które faktycznie były w obiegu są też bez porównania rzadsze i mają prawdziwą wartość filatelistyczną. Stempel „grzecznościowy" — o ile go tak w tym wypadku można nazwać — nosi datę 22/V 1938.

Poczta w Rumunji wydaje serje złożone ze znaczków o rozmaitych formatach, co zapewne nie ułatwia życia ani wytwórni znaczków w Bukareszcie, ani filatelistom, którzy w tym wypadku będą musieli odmierzać w albumach własnego układu pola dla wartości za 3 lei (karminowy) 29×34 mm, 6 lei (brązowy) 29×28 mm i 10 lei (niebieski) 29×30 mm. Serja ta wykonana heljograwurą nie zasługuje bynajmniej na wyróżnienie.

Przy tej sposobności pragnąłbym zaznaczyć, że jednak albumy ze znaczkami ułożonemi przez samego zbieracza przedstawiają się najładniej. Oczywiście, że mało kto potrafi ułożyć estetycznie serje, oraz wymierzyć precyzyjnie pola, trud opłaca się jednak sowicie. Odstępy pomiędzy znaczkami nie powinny być bardzo szerokie, tak aby zawsze można się było zorjentować o całości serji. Przeciętnie każde pole ma być o 2 do 3 mm dłuższe i szersze od wymiaru danego egzemplarza. **W. H.**

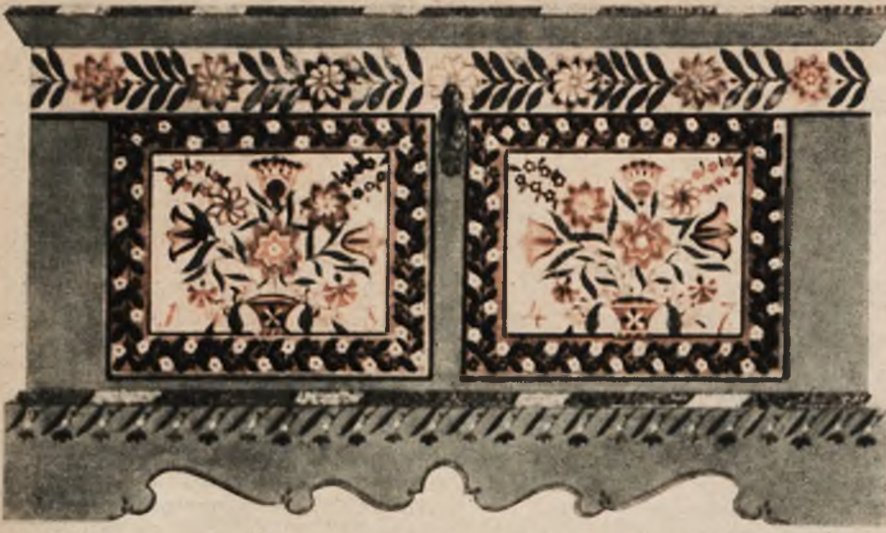


Najnowsze znaczki rumuńskie, wydane z okazji nadania nowej konstytucji dnia 27 lutego b. r., oraz powyżej, znaczek szwajcarski „Pro Aero".

Odpowiedzi Redakcji.

WPAN ST. M., BRZEŚĆ NAD BUGIEM. Artykuł WPana o nalepkach jest ciekawy, ale nie może on znaleźć miejsca w ramach „Kącika", bo... z filatelistyką nie ma nic wspólnego. Według naszego poglądu byłoby o wiele lepiej, gdyby nasi zbieracze mogli popierać LMK, LOPP, Czerwony Krzyż itp. w postaci dopłat do znaczków dobroczynnych, niż nalepek, ale z drugiej strony uważamy, że system wydawania znaczków przez ministerstwo wzorowany raczej na klasycznych wzorach USA i Anglji zasługuje na pełne uznanie. Nalepki i stemple nie doczekają się nigdy tej popularności co znaczki pocztowe.

SZTUKA LUDOWA NA ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM



„Trówla" z roku 1847 z Lesznej Górnej, malowana przez Jastrzębskiego. (Zbiory Muzeum w Cieszynie).



„Trówla" wyprawna z roku 1885 z Koniakowa, malowana przez Jakóba Śliwkę z Istebnej (Zbiory Śl. Muzeum w Katowicach).

Na prawo: Wzór, pokrywający dzban jabłonowski z roku 1827 (Zbiory Muzeum w Cieszynie).



Prastara ziemia piastowska — Śląsk Cieszyński — posiada swoistą sztukę ludową, przejawiającą się w wyrobie i zdobieniu narzędzi, sprzętów domowych, strojów, ceramiki, oraz w budowie chałup wiejskich, kapliczek itd. Sztuka stosowana ludu cieszyńskiego zachowała wiele cech oryginalnych i pierwotnych — o czem świadczą zgromadzone w muzeach śląskich i w zbiorach prywatnych egzemplarze przedmiotów codziennego użytku.

Do najciekawszych wyrobów zdobionych przez domorosłych artystów, zaliczyć należy krzesła o wycinanych zapłeckach, stoły o pięknie kształtowanych nogach, łyżniki z zdobionemi symetrycznie wieszakami i wreszcie drewniane czerpaki.

Skrzynie bukowe, służące do przechowywania wartościowych przedmiotów, a nazywane na Śląsku „trówlami", były kiedyś pokrywane wycinanym ornamentem. W czasach nowszych spotyka się „trówła" malowane w barwne sploty i bukiety kwiatów. Podobnie ozdabiane są też nowsze już szafy — „olmaryje", przyczem do ornamentu kwietnego wplecione bywają wizerunki ptaków.

Narzędzia i przedmioty gospodarcze górali śląskich, stojących dalej od wpływów kultury miejskiej — świadczą o wysoko rozwiniętym zmyśle estetycznym ludu. Bogato zdobione i harmonijne w kształtach są rozmaitego rodzaju naczynia drewniane, przęślice i cierlice, kosiska, pochwy na osełki, kyrbliki, stępy. Nawet żelazne okucia do wozów pokryte bywają ornamentem stempelkowym.

Ceramika śląska, rzadko już dziś spotykana w chatach wiejskich, wykazuje nieraz ciekawe formy pochodzenia słowiańskiego. Wyróżnia się ona barwnym ornamentem na tle jasno, czy ciemno-brązowej polewy.

Strój śląski zdobny w koronki, jedwabne lub złote hafty, pasy srebrne, a nawet złote — wykonane przez małomieszczańskich złotników, guzy srebrne do „bruclekόw" jabłonowskich, pasy góralskie z tłoczonym ornamentem i mosiężnemi klamrami, wreszcie pod względem artystycznym wysoko stojące przedmioty, związane z kultem religijnym, jak rzeźba, malowidła na płótnie i szkle i zdobione elementy architektoniczne budownictwa ludowego — dopełniają całokształtu ciekawej i bogatej, lecz niestety ginącej wytwórczości artystycznej ludu śląskiego.

Zanik sztuki ludowej, datujący się od końca XIX wieku, a będący wynikiem naporu tandety fabrycznej, zalewającej wieś — spowodowałby niewątpliwie zupełne zapomnienie dla tradycyj artystycznych Śląska Cieszyńskiego, gdyby nie szereg osób prywatnych czy instytucyj, które zdołały zgromadzić sporo okazów tej sztuki, przechować je i uchronić od zniszczenia.

W roku 1896, prezes Towarzystwa Ludoznawczego w Cieszynie ks. Świeży zapoczątkował zbiory, które stały się zaczątkiem późniejszego Muzeum Miejskiego w Cieszynie, którego opiekunem przez długi czas był ks. Józef Londzin. Dużo wartościowych zabytków posiada także Muzeum Macierzy Szkolnej, utworzone przy Gimnazjum Polskiem w Orłowej. Do najciekawszych jednak zamierzeń w dziedzinie ochrony przemysłu i sztuki ludowej na Śląsku Cieszyńskim — zaliczyć należy prace Towarzystwa Przemysłu Ludowego i Domowego w Cieszynie, które pracuje nad wskrzeszeniem śląskiej sztuki ludowej i które postawiło sobie za cel wzbudzenie zamiłowania do dawnych, rodzimych wzorów ludowych, stosowanych w zdobnictwie.

Towarzystwo to, po zapoczątkowaniu swej pracy w roku 1937, dzięki sprężystej inicjatywie swego prezesa inż. Henryka Riessa — przystąpiło najpierw do założenia silnego fundamentu pod racjonalną pracę Towarzystwa — kompletując i zbierając zabytkowe wzorce ornamentu śląskiego. Zatrudnieni od roku dwaj artyści zdołali do tej pory skopjować przeszło 200 wzorów barwnej ceramiki, skrzyń oraz kolorowych haftów, wykonanych na chustkach i żywotkach (gorsetach). Równocześnie wyprodukowano pierw-

Dokończenie na str. 20-ej.

Poniżej: Fragment ceramiki śląskiej na wystawie Tow. P. L. i D. w Cieszynie.



DAWNEGO KRAKOWA

Przed laty kilkudziesięciu...

Gdy rząd austrjacki zdzierał z Galicji skórę, a zato kokietował polskość. Orkiestry wojskowe grywały „Wieniec pieśni polskich", hymn „Jeszcze Polska" i oberek „Bartoszu, Bartoszu". Kapelmistrze orkiestr wojskowych Hock w Krakowie i Konopasek we Lwowie komponowali polonezy i mazury. Z Wiednia sypały się na lojalnych obywateli ordery i tytuły. Życie kwitło, żeby nie powiedzieć, że kisło, wśród rogatek.

Prowincja.

Wszyscy się znali, bo, jeśli ze względu na przedział sfer i rang nie wprost, osobiście, to z widzenia, ze spotykania się na ulicy, natykania na siebie kilka razy jednego i tego samego dnia.

W jednej z swych powieści, tak pełnych nieporównanie bystrej spostrzegawczości, pisze Balzak, że nigdzie tak, jak na prowincji, nie widzi się kobiet tak chudych, czy grubych i brzydkich, nigdzie tak jaskrawo nie krystalizuje się typ.

Kraków, wspaniały średniowieczną architekturą, krynica nauki i sztuki dla całej Polski, ale wstrzymany w swym historycznym rozwoju, trącił parafją, parafją z pretensjami, które w literaturze, ku wiecznej rzeczy pamięci, naszkicował Bałucki.

Dziś, tyle ważniejszych zdarzeń zmieniło duszę miasta, że poza zasłoną czasu zniknęły typowe figury ówczesnych ulic. Przecie jednak został po nich i błąka się w pamięci jakiś rys z ich postaci, wyglądu, czy słowa puste, bezwartościowe, lecz w formach oryginalne, odrębne.

— Na ten przykład wykrzyk, — rżnij Walenty!

Zdawałoby się, że to może się odnosić do jakiegoś Walentego, — nic by to nikogo więcej nie obchodziło, — tymczasem nie było żadnego Walentego, natomiast był okrzyk ochoty i radości, rzucany w powietrze, w przestrzeń, i tym, którzy go słyszeli, przywodzi na myśl żywą, ruchliwą, nadmiarem temperamentu pulsującą osobę, jak gdyby malowaną przez Halsa, lub zbiegłą z groteskowej galerji ksiąg Rabelais'a.

To był pan Biasion.

Z zawodu kupiec, z natury hulaka, o poczuciu humoru. Zbudowany na schwał, rosły, przystojny, kawaler w pewnym wieku, elegant, szczodry, rozrzutny. Znać go było na ulicy ,w dorożkach, w teatrze w pierwszych rzędach krzeseł, w cukierniach i handelkach. Roześmiany, otoczony kompanją znajomych i nieznajomych, fundował, co kto chciał, i do wypitki zachęcał powiedzeniem, — „rżnij Walenty".

Weszło to w modę.

Wszyscy w mieście, przy lada okazji po pijanía, czy bez niej, od stróża do inteligenta, powtarzali, — „rżnij Walenty!".

Przyjęło się, niby pod działaniem psychozy. Przeplatało rozmowę, podobnie jak swego czasu lwowskie „chamaj Kiciu", i paryskie „dziękuję za langusta".

Figur typowych było sporo.

Co krok.

Kapucyn...

Braciszek kapucyn, z kozią bródką i puszką blaszaną w ręku, prosi o datek na klasztor i ofiarodawcę częstuje tabaką.

Albo „płaga florjańska". Kulawa babina, na ulicy, w sposób natrętny, „namolny", sprzedaje przechodniom pończochy własnego, na drutach, wyrobu. Od świtu grasuje na bruku, przeważnie na ulicy Florjańskiej, zwana też „plagą florjańską". Nie przepuści nikomu, nęka, nudzi. Tak, że ani rusz opędzić się. Kupują od niej te pończochy, — (białe, jak wówczas noszono), — kogo dołapie. I mistrz Matejko, zdążając ze Szkoły do mieszkania na ul. Florjańskiej, i prof. hr. Tarnowski, powracając z wykładu w uniwersytecie do domu na ul. Szlak. Wszyscy, bo inaczej źle. „Plaga" potrafiła w głos biadać i kląć.

Nie był natrętny Pawełek.

Obłąkany, obdartus, nie żebrak, bo nie przyjmował jałmużny. Gardził pieniędzmi. Z czego żył, chyba z powietrza. Biegnie ulicą, za nim gromadka pauprów. Na wszystkie pytania ma jedną odpowiedź.

— Dokąd idziesz Pawełku?

— Do Króla na kawę.

Inna znów figura z bruku to Sielawa. Rzekomo kniaź, olbrzym, siłacz nad siłacze, handlarz końmi, występował w czarnej masce w zawodach atletów w cyrkach bywałych w Krakowie, wreszcie pacjent szpitala św. Łazarza dla umysłowo chorych.

I pamiętny smutnie rzeźbiarz Gadomski.

Ożenił się ze swą modelką, posągowej, cudnej, nieziemskiej piękności. Cóż z tego, opuściła go, uciekła z innym. On oślepł. Co dnia przed południem przyprowadzał go służący do cukierni Rehmana w Sukiennicach. I tam nieszczęsny przesiadywał godzinami, milczący, z martwym wyrazem twarzy, — wsłuchiwał się w gwar cukierni.

Także równie smutne wrażenie czynił widok pirotechnika Mądrzykowskiego .

Bardzo wysoki, w czarnym kapeluszu z ogromnemi skrzydłami, wyglądający na artystę z epoki Cyganerji, bawił Kraków ogniami bengalskiemi na festynach w Parku i obchodach „wianków" na Wiśle, gdy nagle wybuch prochu w jego czarodziejskiej pracownik pozbawił go wzroku. tak, że nie mógł pracować. Żebrał na ulicy.

Inni, znani z widzenia wszystkim, czcigodni, powstańcy, sybiracy. Konopka z zawiesitemi siwemi wąsami, w czamarze. Benedyktowicz, w romantycznym płaszczu, malarz bez rąk, odrąbanemi mu przez kozaków. Historyk Buszczyński. o wyrazie twarzy natchnionym, wzniosłym, z piętnem cierpienia w oczach. Postacie uduchowione, szlachetna, jak z rysunków Grotgera.

Dawny Kraków...

Antoni Wysocki.

151

POMIESZANE ★ KARTY

JAN MALESZEWSKI

S • K • E • C • Z

(Scena przedstawia wnętrze przydrożnej knajpy: mała salka jest odrapana, ponura i brudna. Przy stole siedzi John Silly, popijając jakiś trunek. Wchodzi Jakób).

JAKÓB: (do kelnera) Whisky and soda! Nie pytał się kto o mnie?

KELNER: Jeszcze nie (odchodzi).

JAKÓB (rozglądając się): Tylko whisky z lodu jest coś warte!

JOHN SILLY: ...aby dobrze smakowało!

JAKÓB: Tak, ma pan rację. To pan jest Silly?

SILLY: Ja!

JAKÓB: Więc?

SILLY: Zwykłem załatwiać każdy interes punktualnie. W moich fabrykach też wprowadziłem system prędkiego obsłużenia klienta.

JAKÓB: Klienta! Ma pan zmysł humoru, niema co. Ale...

SILLY: Dlaczego humoru? Może mam zmysł właśnie czegoś wręcz przeciwnego? Kto tu jest klientem, o tem rozstrzygnie przyszłość!

JAKÓB: Zdaje mi się, że raczej pan!

SILLY: Czyżby? Tak się panu zdaje?

JAKÓB: Poniekąd, sądząc po analogicznych wypadkach.

SILLY: O, widzi pan, to wielka omyłka, sądzić rzeczy według szablonu lub analogij. Niema dwóch podobnych sytuacyj w życiu, tak, jak niema dwóch jednakowych ludzi. Nawet sjamscy bracia różnią się między sobą.

JAKÓB: No, tak, tak, ale przystępujmy do rzeczy. Pan otrzymał pismo? Warunki, konsekwencje itd.?

SILLY: Owszem, otrzymałem. Dlatego tu jestem.

JAKÓB: Zgadza się pan na warunki i kiedy je pan wykona?

SILLY: Ja? Nigdy!

JAKÓB: Pan wie, jakie będą tego skutki?

SILLY: Wiem! Napisaliście mi dosyć wyraźnie.

JAKÓB: Panie Silly! Niech pan nie myśli, że my się bawimy w zastraszanie! To, co piszemy, jest prawdą! Rozumie pan? Bezapelacyjnie wykonywujemy to, co zapowiadamy.

SILLY: Mam powody powątpiewać!

JAKÓB: Niech mnie pan nie obraża! Nie jesteśmy wprawdzie tak sławni, jak Al Capone, czy banda Cartera ,ale to nic nie znaczy. Cóż z tego, że o nas mniej się pisze? Unikamy rozgłosu, to szkodzi interesom a sławę lekceważymy.

SILLY: Pan należy do skromnych kidnapperów! Bardzo się to panu chwali.

JAKÓB: A więc?

SILLY: Już powiedziałem!

JAKÓB: Trudno! Ale znajdzie się sposób.

SILLY: Wątpię... Widzi pan, panie Jakóbie, pan jest prostym człowiekiem... Proszę nie brać mi tego za złe, co mówię. Otóż pan i pańscy pomocnicy robicie wszystko szablonowo: uprowadzacie piękną osiemnastoletnią córkę miljonera Silly, właściciela słynnych browarów i zdaje się wam, że on ją od was wykupi za sumę pół miljona dolarów. Co wam każe przypuszczać, że to zrobi?

JAKÓB: Bo zwykło się poświęcać wszystko dla osób kochanych!

SILLY: O, widzi pan! Tu pan wpadł!

JAKÓB: Jakto?

SILLY: A kto panu powiedział, że Daisy jest dla mnie osobą kochaną?

JAKÓB: Jest pańską córką..

SILLY (przerywa): Córką mej zmarłej żony...

OSOBY:
JOHN SILLY, MILJARDER
JAKÓB
JOE, KELNER

JAKÓB: Mieszka u pana, jeździ pan z nią po świecie, ubiera ją ładnie, cieszy się jej sukcesami w życiu, w towarzystwie! —

SILLY: Omyłka!

JAKÓB: No dobrze, ale jest pańską córką czy córką osoby, którą pan bardzo kochał! W przeszłym roku dał pan miljon dolarów jako fundację jej imienia!

SILLY: Wie pan co? Jestem dziś w nastroju umożliwiającym zwierzenia. Nie mówię prawie z nikim, wiodę odosobniony tryb życia, podróżuję, to też całemi miesiącami nie zdarzy mi się pomówić z kimkolwiek. Dziś sposobność jest nader dobra: zwierzę się panu z mych myśli i z kilku epizodów mego życia.

JAKÓB: Niestety, nie mam czasu na tego rodzaju gawędy. Przyszedłem tu jedynie po jedną jedyną odpowiedź. Business is business!

SILLY: Jeżeli pan mnie nie wysłucha, nie będziemy mogli dalej mówić o tych warunkach; jedno z drugiem się ściśle łączy. Jeżeli nie, to nie!

JAKÓB: No, daję panu dwadzieścia minut!

SILLY: Dobrze, to wystarczy. Otóż moja zmarła żona, matka Daisy, była kiedyś fordanserką. Było to lat temu dziesięć. Była dobrem, pięknem, łagodnem stworzeniem... I nieszczęśliwem. Miała za mało szans w życiu i za mało silnej woli, aby zyskać jakąś pozycję w świecie. Życie jej było szarpaniną od jednego do drugiego wypadku. Zawsze była wyzyskiwaną, sponiewieraną. Poznałem ją w „Canzas City“ w Chicago. Przyszła do mego stolika. Na pół pijana zaczęła mi się zwierzać. Coś musiało ją tak dziwnie nastroić. Pojechała potem do mnie: rozmawialiśmy do białego rana. I została u mnie, jako moja żona.

JAKÓB: Czytałem o tem w gazetach swego czasu...

SILLY: Czytał pan o faktach, nie czytał pan o tem, co się działo we mnie. Widzi pan, każdy człowiek ma w swej duszy takie miejsce mniejszej odporności, jakie psycholodzy nazywają „locus minoris resistentiae“, zresztą pewno pan nie zna łaciny...

JAKÓB: Nie, nieznam...

SILLY: Ale zna pan chwile, w których nienawidzi się świat, i ma się pogardę dla ludzi. Przeszedłszy przez bardzo ciężką walkę życiową, po której dopiero stałem się tym, którym dzisiaj jestem, całą ludzkość dzieliłem na dwie klasy; jedną nienawidziłem dla tych upokorzeń, jakich od niej doznałem, gdy byłem biedny, drugą pogardzałem dla czołobitności, jaką mi okazywała, gdy byłem bogaty. Reszta ludzkości nie wchodząca ani w jedną, ani w drugą kategorję, była mi obojętna... Ale jak każdy człowiek, tak i ja chciałem wierzyć, że są dobrzy ludzie, że warto się do czegoś przywiązać... I to było właśnie to miejsce mniejszej odporności. Los chciał, że ludzkość w swej dobrej postaci, szlachetne strony życia, jego nędzę, jednem słowem te wszystkie momenty, które budzą sympatję, współczucie i żywszy odruch serca w mojem życiu, ucieleśniła Jane, moja żona. U kogo innego byłoby się to ujawniło w postaci przytułku dla biednych dzieci, szpitalu dla nieuleczalnych, fundacji naukowej czy czemś innem. Gdy patrzałem w wystraszone, piękne oczy Jane, gdy słuchałem o jej nieszczęściach, poniewierce, wyzysku, któremu ulegała, bezbronności wobec sępów, których jest więcej wśród ludzi, jak wśród ptaków, kochałem ją, kochałem tych wszystkich biednych i nieszczęśliwych, których ona mi przypominała. I nienawidziłem jej krzywdzicieli.

JAKÓB: Bardzo są ciekawe pańskie wywody i przeżycia, ale chodzi tu o okup za Daisy...

SILLY: Właśnie, właśnie, już dochodzę do tego punktu... Otóż moja żona miała dziecko z mężczyzną, który był powodem jej nieszczęść, i jej poniżenia. Mężczyzna ten był znów wcieleniem tej drugiej połowy ludzkości, którą nienawidziłem. — Córka wdała się w ojca: od małego dziecka była drapieżnym ptakiem, jej cała inteligencja zwrócona była w kierunku wydarcia życiu, maksimum dobrego przy pomocy minimum wysiłku. Otoczona bogactwem, wychowana jak córka miljonera, nie potrzebowała sięgać po nic, ale świat rozpada się w jej oczach na dwie części: jedną stanowi ona, druga to wrogowie, których należy ograbić.

JAKÓB: No widzi pan, mister Silly, kidnapperzy bywają nie tylko wśród nas! Nawet w domach miljonerów są takie typy!

SILLY: Ależ oczywiście! Ma pan rację! Takie charaktery występują dopiero wtedy, gdy zaczyna się walka: póki zawieszenie broni trwa, kryją się nieraz pod frakiem czy wieczorową toaletą! Daisy, córka mej żony i tego mężczyzny jest właśnie takim piratem współczesnego życia. — Zawsze jej nienawidziłem, a przynajmniej była mi wstrętna. Nie dam też za nią okupu. Jeżeli chodzi o mnie, to również nikt się nie upomni, bo cieszę się w świecie tylko antypatją i każdy będzie rad, że wpadłem w wasze sidła. Natomiast jedyny człowiek, jaki jest w tem zainteresowany, to pan.

JAKÓB: Ja?

SILLY: Tak, pan, zwany przez prasę „krwawym Jakóbem“, a właściwie zwący się McHenry, a noszący od przypadku różne nazwiska, między innemi: Wilcox, Johnson, Kelley i inne.

JAKÓB: Pan się porozumiewał z policją? Skąd pan zna moje nazwisko?

SILLY: Wiem je z dobrego źródła: moja żona Jane Lowdy, występująca pod nazwiskiem Amy Alson, zdradziła mi je, bo pan był tym mężczyzną, który zniszczył jej duszę, zatruł jej życie, a którego Daisy jest córką!

JAKÓB: Amy Alson była pańską żoną! Boże! Znikła mi z oczu, nie wiedziałem, co się z nią dzieje... Chciałem ją odszukać... naprawić... kochałem ją... może na swój sposób, ale kochałem... Lecz brnąłem coraz dalej... Uważałem się za podłego a nie lubię niczego robić połowicznie... Jedna zbrodnia następowała po drugiej...

SILLY: Przystępując do gry, trzeba znać karty przeciwnika. Los wprowadził w grę atuty, których pan w moim ręku nie przeczuwał. Nie kocham nic realnego ani nikogo, miłość moja należy do tej, które już nie żyje. Nie przywiązuję do niczego wartości, to też nie może mi pan nic zabrać. Z tej strony jestem nietykalny. Chciał mi pan sztyletem wymierzyć cios w plecy a trafił pan we własne serce!

(Silly wstaje i wychodzi z knajpy).

HISTORJA
jednego kapelusza



1902



1907



1913



1918



1920

Tak jak staroświeckie kołatki przy domach, tak też wiele innych drobiazgów angielskiego życia świadczy o niezmienności instytucyj i gustów tego kraju. Ta niezmienność, ta „granitowość" wymagana jest też od członków panującego domu: dzięki wzorowemu rodzinnemu życiu królowa Wiktorja więcej może zyskała popularności, niż dzięki ostatecznemu opanowaniu Indyj. Ta ukochana przez Anglików „niezmienność" objawia się w stroju u niezwykle popularnej w Anglji królowej-matki. Od lat trzydziestu zgórą przyzwyczaiła Anglików do jednego i tegosamego kapelusza w kilku odmianach: jak kapelusz Małego Kaprala stał się on prawie symbolem i nieomal „instytucją" państwową. Zmienia go czasem jedynie na djadem królewski, który również pozostaje niezmienny.

W pocz. XX wieku na jednem jedynie zdjęciu spotykamy inny kapelusz: modne wtedy „ogródki" kwiatowe znalazły w oczach królowej na krótki czas łaskę. Liczymy rok 1907: już tylko trzy lata dzielą księcia Walji, późniejszego Jerzego V, od tronu, ojciec jego Edward VII. coraz silniej zacieśnia węzły Ententy. W wiele lat później, bo w r. 1929 widzimy ją z tym samym toczkiem z brokatu, podobnym do hinduskiego turbana.

Ale znów w przededniu wojny, w r. 1913 królowa wraca do raz obranego typu kapelusza; toczek ozdobiony kwiatami, skrzydełkiem ptaka, pozostaje mutatis mutandus ten sam. Jest już od trzech lat królową i jako taka tembardziej musi zwracać uwagę, aby jej sylwetka, niezmienna, charakterystyczna, niejako „wieczna" utkwiła w pamięci poddanych.

Znowu przechodzą lata: Angja przeżyła wojnę światową; w roku 1931 toczek przybiera barwę czarną i ozdobiony jest małą klamrą. Królowa przeszła niejedną troskę, dzieci ma dorosłe, książę Walji, późniejszy Edward VIII, czynny jest w służbie państwowej. Królowa poczyna się ubierać ciemno, również kapelusz doznaje zmiany w kolorze. Oto jaki kapelusz nosi w r. 1918 na wystawie fotograficznej w Londynie. W r. 1934 widzimy ją znów w kapeluszu podobnym do tamtych tylko w jasnym kolorze.

Na zdjęciu z r. 1920 widzimy królowę znów w klasycznym toczku w ciemnym kolorze. W ostatnich latach jednak królowa Mary powróciła do kolorów jaśniejszych a również kapelusz ukazuje się w kolorze białym. Jak widzimy jednak fason kapelusza pozostał ten sam: biały kolor pięknie harmonizuje z siwemi włosami królowej. Jej takt, wzorowe życie rodzinne i ta niezmienna sylwetka królowej są właśnie temi zasadniczemi zaletami matki Jerzego VI.

JGM.



1938



1934



1931



1929



1926

OD ŁUCZYWA DO NEONÓW



Na prawo: Średniowieczna ozdobna lampa, w której źródłem światła było łuczywo.



Na lewo: Fragment ulicy Nowego Jorku przy nowoczesnem oświetleniu.

Wielkie to było, wstrząsające, wydarzenie w życiu pra-praczłowieka, gdy mu się udało po raz pierwszy wydobyć z kawałka suchego drewna mdły, nikły płomyk i rozproszyć ciemności nocy. Od owej chwili poprzez długie wieki i tysiąclecia płonące drewno było jedynem światłem, tworzonem ręką człowieka. A i dziś jeszcze — choć umysł ludzki chełpi się cudami świetlnej techniki — w zapadłych zakątkach świata, w ubogich ludzkich mieszkaniach, stos drzewnych polan i smolne łuczywo zachowały swój pełny walor.

Ale już bardzo, bardzo wcześnie poznała ludzkość siłę świetlną, tkwiącą w tłuszczu zwierzęcym i roślinnym. Łoju wołowego i owczego było wbród. Więc palono go — ot tak poprostu — w odkrytych czarach, nie bacząc na to, że i światło było niewielkie i woń zmieszana z gryzącym dymem nie była zbyt miła.

A potem — ale już dość późno, bo gdzieś około IV-go wieku po Chr. — następuje nowy wstrząs, nowa epoka: wynalezienie świecy. Przełom równie wielki, jak ten późniejszy, w wiele wieków potem, gdy świat zajaśniał elektryczną żarówką. Nie bardzo piękna i nie bardzo poręczna była owa prababka dzisiejszej świecy. Wokół grubego drutu skręcano lniane nici; taki to „knot" zanurzano w płynnym tłuszczu; gdy zaś ten dostatecznie stężał, powtarzano zanurzenie kilkakrotnie, dopokąd świeca nie uzyskała pożądanej grubości. Druciany knot oczywiście sam się nie spalał, co chwila — w miarę spalania się świecy — trzebo go było ścinać specjalnemi nożycami.

Ale już te pierwotne świece cechowała próżność: domagały się pięknego okrycia: lichtarz i świecznik stały się terenem, na którym raz po raz święciła triumfy sztuka zdobnicza minionych czasów.

Zanim jeszcze świeca osiągnęła szczyty swego rozwoju, u jej boku zjawił się groźny konkurent: lampka olejna. Dawała więcej jasności, aniżeli świeca, ale też niepomiernie dużo kopciu. Trzeba było znowu przeczekać wieki, aż paryski aptekarz Quinquet (r. 1756) wynalazł „cylinder", który płomień olejnej lampy ujmował w należyte karby.

Biedzono się dużo i długo nad jej ulepszeniem. Pojawiała się ona już to w formie prostej, niedogodnej, już też bardzo pomysłowej, przydatnej.

I gdy zarówno świeca, jak i olejna lampa kroczyły cierpliwie, niespiesznie po swej rozwojowej drodze, zdarzyła się w połowie ubiegłego wieku — w dalekiej Pensylwanji rzecz, która zdawała się być wyrokiem śmierci dla owych tak wytrwałych i wiernych orędowniczek światła. Z ziemi trysnął „olej skalny", naftowa ropa. A niemal że równocześnie to samo nastąpiło nad Morzem Kaspijskiem i na Podkarpaciu. — W niedługi czas potem w pracowni polskiego wynalazcy L. Bratkowskiego, zabłysła pierwsza na świecie lampa naftowa.

Wszystko to były jednak kwestje — można powiedzieć — „oświetlenia indywidualnego", oświetlenia ludzkiego mieszkania. Zaś życie poczęło się coraz bujniej krzewić także na ulicach rozrastających się miast. Już i tu nie wystarczyła niesiona nocną porą żywiczna pochodnia albo umieszczona w latarni świeczka. Niewiele też pociechy było z płonących na publicznych miejscach olejnych lampek. W samą porę, w pierwszych dziesiątkach XIX-go wieku pojawia się na placach i ulicach miast niebieski płomień świetlnego gazu.

W zaciszu swego laboratorjum wielki Edison doprowadza przy pomocy prądu elektrycznego do żarzenia małe stalowe druciki: nadciąga epoka żarówki elektrycznej. Miljony i miljardy żarówek rozpalają się noc w noc po wszystkich kontynentach świata. Problem jasności zostaje rozwiązany. Cicha noc zmienia się w żywy dzień. W kolorowych neonowych rurkach tańczą, krzyczą, szaleją światła, wabiąc i kusząc przechodniów. Neony stały się szyldem nowoczesnych miast.

Rzecz dziwna: obok samochodu, czołgu, samolotu kroczy odwieczny koń, muł, wielbłąd. W blasku lamp łukowych, w tęczowej orgji neonów nie zamarła naftowa lampa, biała świeczka (dziś już stearynowa albo parafinowa) ani nawet nikłe sączące się światło łuczywa. Przetrwały wieki; cofnęły się w zacisze zakamarków i tam pędzą swój żywot cichy, ale niezłomny.

Zaś czasem oko i duszę współczesnego człowieka, zmaltretowanego krzykiem oślepiającego światła ogarnia dziwna tęsknota za płomykiem łojowej świeczki, olejnego kaganka i melancholijnie trzaskających smolnych szczap.

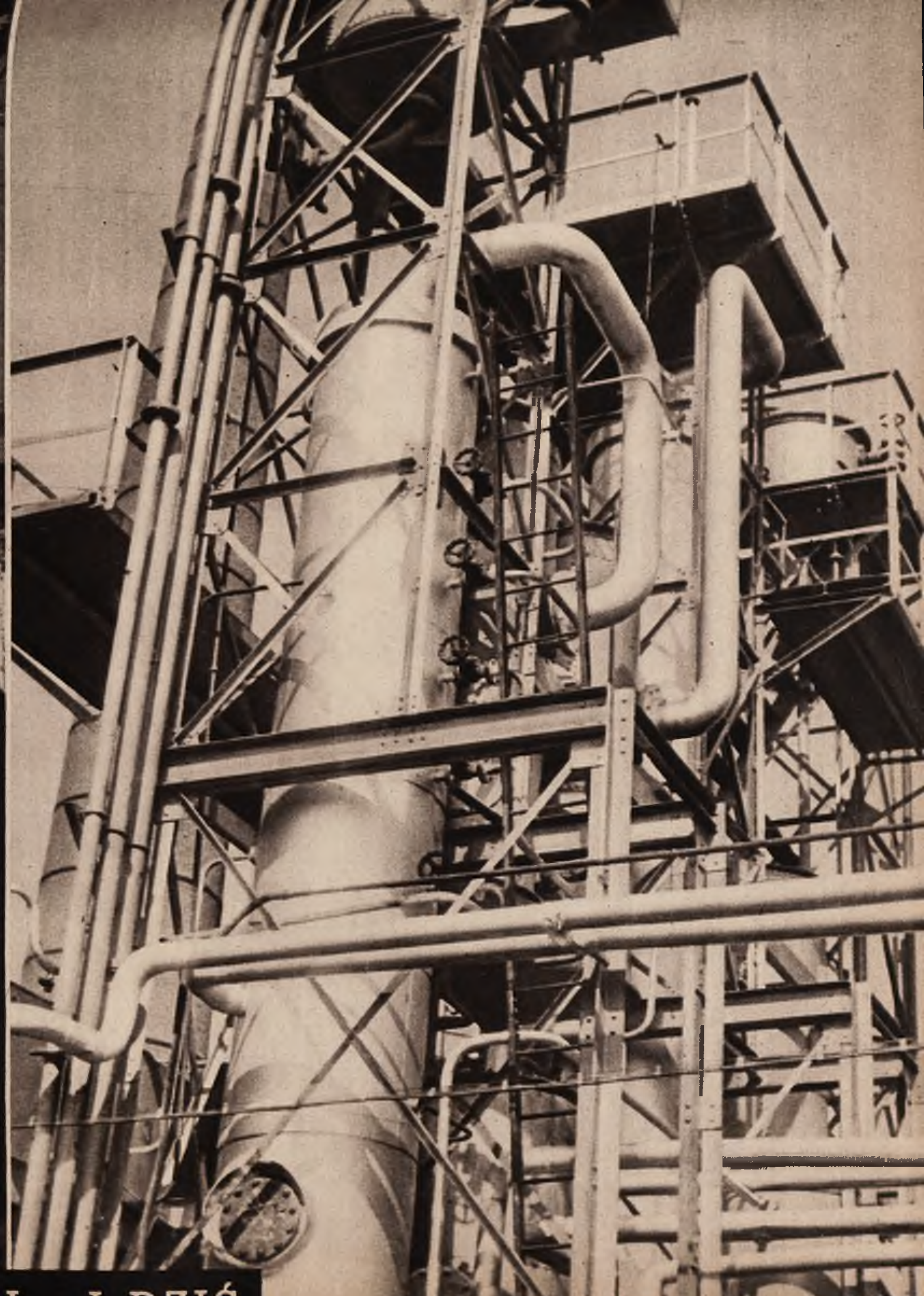
Warto wspomnieć na marginesie, że oświetlenie łączy się ściśle z charakterem epoki, w której powstało. Jak dziwnie wyglądałby obraz wnętrza mieszkania, gdybyśmy, nie stosując się ściśle do historji, pomylili oświetlenie, nie dostosowując go do ogólnych ram! Żółte światło świec woskowych, używanych w XVIII wieku, nierozłączne jest od peruki i szpady owoczesnych ludzi, lampa gazowa lub naftowa budzi w naszej wyobraźni obraz panów w opiętych marynarkach czy frakach, w dziwacznych melonikach i cylindrach, takich, jakich ich widzimy na starych dagerotypach. A dzisiaj? Czyż neon lub też o nowoczesnych, prostych, nieco kanciastych formach, lampy nie najlepiej symbolizują ten wiek XX-ty, który postawił sobie za zadanie zmechanizowanie życia pod każdym względem?

Alfred Laniewski.



W kole: W laboratorjum w Menlo Park udało się Tomaszowi Edisonowi dnia 19 października 1879 r. zapalić pierwszą lampkę elektryczną, co stanowi e p o k o w ą d a t ę w dziejach oświetlenia.





WCZORAJ... I DZIŚ



Na lewo: Zamek w Vizille, leżący na szlaku napoleońskim, który biegnie z południa do Paryża.

ŚLADAMI NAPOLEONA



Powyżej: Tablica pamiątkowa wmurowana w Cannes, jako w punkcie wyjścia „Drogi Napoleona".



Po prawej: Jedna z sal Muzeum Napoleona w Digne.



Poniżej: Napoleon I. (1769—1821).

Nazajutrz po śmierci Marszałka Piłsudskiego zaczęto w Polsce intensywnie myśleć o stworzeniu „Drogi Marszałka". Poniżej opisujemy inną drogę tego rodzaju, zrealizowaną we Francji, „Drogę Napoleona", ciekawą w swem założeniu i wykonaniu.

Wiele dróg możnaby nazwać we Francji imieniem Napoleona, czy to dla upamiętnienia jego świetnych posunięć i czynów, czy poprostu z wdzięczności za te wszystkie drogi, jakiemi obdarzył Francję. Podobnież i imieniem Marszałka Piłsudskiego możnaby ochrzcić niejeden szlak w Polsce...

Uznano niemniej, że droga powrotna z Elby najbardziej zasługuje na wyróżnienie. Powrót ten bowiem należał do wyczynów najbardziej niezwykłych. Niektórzy twierdzą, że napróżno możnaby szukać porównania w mitologji... Stwierdzono też przytem, że żaden opis nie jest wstanie oddać historji tego powrotu b. władcy świata, otoczonego malutką grupą wiernych. Trzeba być na miejscu. Trzeba „przeżyć" tę drogę, pielgrzymując od etapu do etapu. Prawda, że dziś czyni się to w luksusowym autobusie, choć zazdrościć należy tym, którzy mogą pozwolić sobie na wygodę własnego auta. Znajdowałem się w tym pierwszym wypadku...

Droga doskonała, specjalnie utrzymana, by ułatwić licznym turystom zwiedzenie jej. Nie brak wspaniałych hoteli i restauracyj, przyciągających twój wzrok co kilkadziesiąt kilometrów... Niemniej wspomnienia wielkiej postaci Napoleona żyją tu tak, że mimo modernizacji i pewnej komercjalizacji — wrażeń zdobywa się dużo.

Prawda, trzeba otworzyć odpowiednie karty historji. Wybór trudny, uwzględniając istnienie 40.000 dzieł o Napoleonie! Trudno też o dzieło objektywne. Napoleon i jego wiarusi przybierają niemniej postać legendarnych olbrzymów, tak nieprawdopodobny zdaje się ten powrót, ten marsz poprzez Francję, w zasadzie wrogą byłemu cesarzowi. Bo ludność wyczerpana obawia się, że powrót Napoleona wywoła nową wojnę. A ludzie pragną pokoju...

Działo się to 26 lutego 1815 r. Napoleon wyruszył w drogę na kilku statkach w otoczeniu wiernych z Gwardji. Pierwszego marca tegoż roku, pod wieczór, następuje wylądowanie w zatoce Golf-Juan na Riwierze. Było ich 1.100.

Nie mamy tu niestety miejsca na ilustrowanie opisu tej podróży opowiadaniem drobnych posunięć lokalnych, pertraktacyj w merostwach, staraniami o zdobycie sprzymierzeńców, lub bodaj sympatji ludności. Napoleon pragnął dotrzeć do Paryża bez wystrzelenia ani jednego naboju. Należało więc uważnie ułożyć marszrutę, by unikać miejscowości niepewnych... Tak zapowiadał się powrót wielkiego cesarza z wygnania!

Napoleon wypoczął nieco w cieniu drzewa oliwkowego, podczas gdy gen. Drouot usunął się, lecz przeciął komunikację pocztową, by wiadomość o powrocie „Małego Kaprala" nie wywołała popłochu i zamieszek przeciwko cesarzowi. Dziś w miejscu tem wznosi się pamiątkowa kamienna kolumna. Tu też zaczyna się „Droga Napoleona".

Gen. Cambronne udał się w awangardzie do Cannes, dziś znanej miejscowości nadmorskiej, gdzie z pomocą mera poczynił zakupy pieczywa i mięsa dla armji. Ludność późno w noc oczekiwała przybycia cesarza, przyglądając mu się z ciekawością, lecz nie manifestując... Fortuna zmienną jest! Miejsce, gdzie mała armja zatrzymała się, nosi dziś nazwę „Bivouac" (biwak), zaś ulica: „du Bivouac Napoleon". Miejscowy Syndykat Inicjatywy wmurował też płytę pamiątkową. Czoło kolumny ruszało tymczasem w kierunku Grasse, znanego dziś ośrodka przemysłu perfumiarskiego. Doszła tu już wieść o wylądowaniu w Juan „korsarzy"... Gen. Cambronne zarekwirował tym razem prowianty i konie. Miejscowy garnizon usunął się. Lecz w chwili nadejścia Napoleona, dzwony uderzyły na alarm. Więzień z Elby przeraził się na myśl o opozycji ludności. W ostatniej chwili zmienił marszrutę, omijając miasto, posądzone o niegościnność. Droga od tej chwili piętrzyła się przeszkodami. Bonaparte zdecydował więc powierzyć opie-

ce miasta Grasse swe cztery armaty i wozy, unosząc skarb i rachunkowość na mułach. Jedno z bydląt potknęło się na ścieżce górskiej, spadając w przepaść. 300.000 franków rozsypało się w szczelinach skał... Wydobyto 263.000. Reszty do dziś szukają pastuszkowie...

I o kiju, pieszo, potykając się o wyboje, powędrował „wielki pielgrzym" na podbój stolicy na podbój utraconych serc. Zatrzymano się chwilę w Saint-Valier, gdzie Napoleon wypoczywał na ławie kamiennej. Dziś widnieje na niej wyryty napis pamiątkowy. Mieszkańcy zamknęli się początkowo w swych domostwach. Dopiero zastępca mera, Chautard, wzruszony uprzejmością cesarza, przywołał ludność. Jeden z oberżystów podał Napoleonowi szklankę napoju orzeźwiającego. Kazano mu skosztować w obawie trucizny. — Dalej, w miejscowości Escragnolles, miejscowy proboszcz Chiris wyszedł gościnnie na spotkanie. Napoleon ze łzami w oczach zatrzymał się dłuższą chwilę i odwiedził panią Mireur, matkę jednego ze swych poległych generałów. Pierwszą noc spędzono w Seradon, odbywając 50 km w ciągu pierwszego dnia. Pieszo...

Nazajutrz kolumna przybyła do Castellane, gdzie podprefekt, onieśmielony postawą Gwardji, ofiarował obiad cesarzowi. Droga stawała się coraz gorsza. Śnieżyca utrudniała podróż. Lecz i tego dnia odbyto 50 km, przybywając pod wieczór do Barreme. Tu ludność już wiwatowała w chwili opuszczania przez Napoleona gościnnych progów. W Digne, skąd garnizon również usunął się dla uniknięcia rozlewu krwi, Napoleon wygłosił przemówienie do ludności, słuchającej



Na „Drodze Napoleona": cytadela w Sisteron.

go niemal z nabożeństwem. Lecz dalsze posuwanie stawało się coraz trudniejsze wobec zapowiedzianego oporu wojsk, wiernych królowi. Wzrastało na szczęście zamięszanie, sprzyjające posuwającej się grupce. Dostano się więc do obronnego miasta Sisteron, gdzie mer odmówił nawet przyjęcia zapłaty za ofiarowany przybyszom prowiant! Ludność wręczyła Gwardji sztandar trójkolorowy i długo wiwatowała. „Niech żyje cesarz!" — staje się częstsze i śmielsze w dalszych wioskach. W Saulee iluminacja, w Cap — oddział Gwardji Narodowej prezentuje broń... Na placu miejskim ludność urządza bal na cześć gości...

Ale nadchodzą wiadomości niepokojące. Napoleon dostawał się najwyraźniej do pułapki. Goniły go wojska z Marsylji, dochodzące już do Sisteron. Przed nim stawały murem oddziały, wysłane z Lyonu. Bonaparte postanowił skorzystać z zamieszania i dostać się do Grenoble, zanim miasto to będzie gotowe do obrony. Droga była już tu lepsza i uciekinier z Elby mógł jechać w zakupionej kaleszy. Pod Laffrey odniósł piękne zwycięstwo: widząc skierowane przeciw sobie karabiny, wystąpił i zawołał:

— Jeśli jest między wami choć jeden, któryby pragnąłby mnie zabić — jestem gotów!

Chwila milczenia. Wreszcie rozległo się tylko:

— Niech żyje cesarz!

Karabiny opadły. Popłynęły łzy. Droga była wolna!

W Grenoble Napoleon, przyjmując hołd władz, mógł z dumą pomyśleć:

— Dotąd byłem awanturnikiem, teraz postępuję naprzód jak książę.

Potem Lyon. Triumf trwa. Nie na długo. Następuje wkrótce bitwa pod Waterloo i Święta Helena.

Zygmut Frenklel.

ŚPIEWAJĄCY LOKATORZY KLATKI



Papużka falista (Melopsittacus undulatus).

Poza powszechnie znanym „ptasim tenorem" — kanarkiem najwięcej do trzymania w klatce, jako ptak pokojowy nadaje się papużka falista (melapsittacus undulatus). Jest to jeden z najmniejszych gatunków papug. Pochodzi z dalekiej Australji i już od roku 1840 znany jest w Europie. W Niemczech, Francji i innych krajach jest bardzo rozpowszechniony i chętnie hodowany. U nas niestety bardzo rzadko spotykamy go. Ma bardzo ładne upierzenie i z natury jest zielony z żółtym łebkiem i czarnemi falami (stąd nazwa) od szyi do końca skrzydeł. W niewoli wyhodowano bardzo dużo odmian: niebieskie, żółte, białe i inne.

Kanarek jako wyśmienity śpiewak jest oczywiście bez konkurencji pod tym względem, lecz zalety naszej papużki dają nam tyle uciechy i zadowolenia, że nie można sobie wytłumaczyć, dlaczego tak mało spotykamy ją u nas. Śpiew tego małego ptaszka napewno nie razi (jak u dużych papug), lecz wprost przeciwnie — jest bardzo miły. A jakaż to uciecha, gdy nasz miły ptaszek zacznie gadać, czyli powtarzać słowa, które podchwyci u ludzi! Jeszcze wyraźniej oczywiście mówi, jeśli mu kilka razy powtórzyć jakieś słowo. Tej uciechy nam kanarek dać nie potrafi! A jakże mile zachowują się one w klatce! Cały dzień są w ruchu: każde poruszenie zaś jest pełne gracji i wdzięku. Lot ich porównać można do lotu jaskółki. Pozatem ptaszek ten odżywia się bardzo skromnie: trochę zwyczajnego prosa i owsa zupełnie mu wystarczają. Oczywiście prawdziwy amator potrafi im urozmaicić „menu" obecnie tak modnemi witaminami i dorzuci od czasu do czasu parę świeżych listków sałaty i innych traw.

Papużka nasza także w klatce dość łatwo dochowuje się potomstwa. Jakaż to rozkosz, gdy z gniazda zaczynają, z początku niepewnie, wyglądać „żółtodzióbe" papużki! Od tej chwili parę dni tylko przejdzie, zanim będą fruwały tak samo zgrabnie jak starzy.

Te małe papużki żyją zazwyczaj w ścisłej monogamji, a „zdrady małżeńskie" należą do największych rzadkości. Małżonkowie są bardzo uprzejmi względem siebie i żyją bardzo zgodnie, jak zresztą wogóle mieszkańcy jednej klatki. W klatce może być kilka lub nawet kilkanaście par, i nigdy się nie kłócą, najwyżej czasem samiczki posprzeczają się przy wyborze gniazd. Pod tym względem znowuż przewyższają ród kanarków, które są bardzo kłótliwe i trzymanie kilku par w jednej klatce jest prawie niemożliwe. Podczas lęgu samczyk-małżonek jest szczególnie uprzejmy i troskliwy dla swej towarzyszki. Samiczka nie potrzebuje sama troszczyć się o pożywienie: cały pokarm dla małżonki i dla piskląt dostarcza wyłącznie czuły i troskliwy małżonek z precyzyjną dokładnością.

Warto aby amatorzy ptaków zwrócili uwagę na tak wdzięcznego, skromnego i chyba najmilszego mieszkańca ptasiej klatki.

Na koniec warto wspomnieć o tem, że chowanie ptaków w pokoju jest dla ludzi mieszkających w mieście niemal jedynym możliwym luksusem, jeśli chodzi o utrzymanie współlokatora ze świata zwierząt, gdyż nasze dzisiejsze mieszkania nie dają zwykle możności trzymania sobie psa. Tak więc ptak, a w szczególności urocza śpiewająca papużka może być dla niejednego miłym i praktycznym współtowarzyszem.

L. L.



Papużki faliste niezwykle łatwo oswajają się i przywiązują do człowieka.











Przed wyjściem na miasto trzeba się przeczesać (Loda Halama). — W[illegible]wka na miasto (Loda Halama). — Trzy siostry w roli turystek. — Podczas zwiedzania Krakowa (od lewej Alicja, Ena i Loda Halamy) [illegible] kupuje kwiatki od przekupki na Rynku (na prawo Alicja Halama)

ZA TRZY GODZINY WYSTĘP...



Powyżej: „Halama-Sisters" — (Grand-Hôtel, Kraków). Wszystkie zdjęcia: Fot. dr Azet.



Na lewo: Taniec z kulą. Loda Halama w Starym Teatrze.



Powyżej: Na deskach Starego Teatru: Ena Halama w tańcu.



Na lewo: Loda Halama w stylowym tańcu.



Powyżej: Gdy się już „ma w nogach" kilka kilometrów spaceru po Krakowie, miło jest odpocząć chwilę w „ogródku" kawiarni (Noworolski, od lewej widoczne Alicja, Ena i Loda).



Na prawo: Alicja Halama na scenie Starego Teatru.

Łatwo tak powiedzieć. ale.... widzowi. Jeśli nie ma jeszcze biletu, to go sobie kupi, potem zje wygodnie podwieczorek i wieczorem — przyszedłszy na przedstawienie na trzy minuty przed rozpoczęciem — czeka spokojnie na ukazanie się gwiazdy teatru, filmu lub tańca. Dla artystów jednak, względnie artystek — i to takich, jak „siostrzyczki Halamy" (gdyż o nich właśnie mówić tu będziemy) — te „trzy godziny", to „kropla w morzu" sprawunków i zajęć, jakie zwykle towarzyszą gościnnemu występowi i związanemu z nim krótkotrwałemu pobytowi w danem mieście. A jeśli miasto to w dodatku jest wielce osobliwem, — pełnem historycznych pamiątek i architektonicznych zabytków — wtedy, przyznacie Państwo, kurczą się owe „trzy godzinki" do mikroskopijnie małych porcyj czasu, rywalizując niemal ze swem najmłodszem rodzeństwem — sekundami. Tutaj nie wystarczy zajechać tylko do hotelu i wypatrywać później godziny występu. Przeciwnie — „cała masa" rzeczy czeka na zajęcie się niemi. Więc przedewszystkiem trzeba sprawdzić, czy zwieziono wszystkie kufry, zawierające w sobie skarby scenicznych strojów. Następnie sporą chwilę czasu pochłonie rozgoszczenie się „na hotelowym biwaku" — później następuje częstokroć oddanie się w wykwalifikowane ręce fryzjerki, manicurzystki itp. „akcesorjów" artystycznego życia — wreszcie odpowiednie przybranie się i wyjście na miasto. Wtedy zazwyczaj pierwsze kroki skierowują „występowicza" ku miejscu, gdzie znajduje się „jego teatr". Trzeba przecież „poznać teren", gdzie za kilka godzin będzie się występowało. Głównie chodzi w takich wypadkach o rozmiar przestrzeni, by móc potem dobrze „czuć scenę" — co zwłaszcza dla tancerki jest niezwykle ważne. Musi bowiem ona, że tak powiem, „przykroić" wymiary swych poszczególnych tańców do wielkości podjum, na co zresztą wystarczy parę minut orjentacji. Po ceremonji powitania z przyjmującą dyrekcją (często już na dworcu), po sprawdzeniu, że stroje czekają w garderobie, przeniesione tam z hotelu, a czasem nawet po próbie — ot, taka sobie mała „przegadanka taneczna" — można wreszcie pomyśleć trochę o sobie, no i o mieście, do którego się przyjechało.

I oto widzimy urocze siostrzyczki — Lodę, Alicję i Enę — jak wędrują wytrwale po wszystkich ciekawszych zakątkach krakowskiego grodu, później zatrzymują się dłużej w Rynku, kupują kwiaty u poczciwej „krakowskiej babinki" i wreszcie — znużone trochę wędrówką po mieście — „lądują" na cienistym tarasie cukierni Noworolskiego. Wkrótce potem, syte wrażeń, a już przejęte trochę swem tanecznem soirée — wracają spowrotem do hotelu, by stamtąd udać się do Starego Teatru, gdzie właśnie odbył się pamiętny „wieczór sióstr Halam" — naprawdę niezapomniany dla elity kulturalnej Krakowa.

Adam Cyprian.



W CZASACH POCZTYLJONÓW

Nalepia się znaczek na kopercie i wrzuca list do najbliższej skrzynki pocztowej. Kto myśli o tem, jak było przedtem, gdy jeszcze nie znano znaczków pocztowych? W jaki sposób dostarczano listy? Dopiero sto lat temu, jak zniesiono dyliżansy. Poprzednio każdy list musiał być oddany do przedu i tam ważony, opłacony i zaopatrzony potem stemplem, który równocześnie służył jako pokwitowanie. Expresowe przesyłki były dostarczane przez konnych posłańców i listy takie miały wyższą taryfę, tak, jak nasze expres listy.

Samo zaprowadzenie stempla (bez znaczka) było już wielkim wynalazkiem. Generalny pocztmistrz z Londynu, Henry Bishop, który w roku 1661 nabył prawa pocztowe za pokaźną sumę 21000 funtów, pisze dumnie starą ortografją w manuskrypcie, wystawionym na wystawie marek w Dorlandhall w Londynie: „Stamp is invented that is putt upon every letter“ — wynaleziono stempel, którym można zaopatrzyć każdy list.

Na wystawie znajduje się historyczny list expresowy z czasów Stuartów z roku 1618. List ten został nadany o 9-ej rano jako expres w Dover i na tym nadzwyczajnie zachowanym kawałku, mającym trzysta lat jest nadmienione ręcznem pismem, o której godzinie ten widocznie zmieniany koń przejeżdżał pojedyncze stacje: Canterbury 12 godzina, Sittingsborne 3 godz. popołudniu, Rochester 5 godzina, Dartford 7 godzina i w końcu Londyn po 10 godzinie wieczór.

Dzisiaj jedzie zwykły pociąg z Dover do Londynu mniej aniżeli godzinę.

Aby pocztyljonom zwrócić uwagę, że list ma być szybko doręczony, nadawcy w dawnych czasach pisali uwagi i kreślili rysunki na kopertach. Na kopercie listu expres z roku 1542, najstarszym liście, jaki wystawiło Towarzystwo Historycznej Poczty jest napisane: „Spieszcie się, spieszcie się, spieszcie się! Chodzi o życie, życie, życie!“. I dla podniesienia drastyczności są narysowane dwie szubienice, które mają ilustrować okropny los adresata, jeżeli list za późno nadejdzie.

Wśród filatelistycznych ciekawości znajdują się oryginalne historyczne listy królowej Elżbiety z XVI wieku, małe razem złożone bileciki, nadające się raczej do zbioru autografów. Jest także oryginalny list lorda Nelson, adresowany własnoręcznie przez niego do „Lady Hamilton, 23 Piccadilly, Londyn“.

Szczególnie ciekawe są listy wyratowane z katastrof okrętowych. Obok obrazków z tonącego okrętu, zachowane zostały koperty, które przetrwały katastrofę. Można doskonale odczytać adresy napisane atramentem i wyblakłem pismem. Wiele z tych listów posiada winiety, które mają łączność z katastrofą. N. p. na jednym z takich listów jest napis: „Ten list jest częścią przesyłki pocztowej parowca „Oregon“, który 7 marca 1886, wypłynąwszy z Queenstown, Irlandja, zatonął 14 marca 1886 przy Ognistych Wyspach“. Podpisane: Henry G. Pearson, Pocztmistrz.

Z listu z parowca „Colombo“, który w roku 1861 padł ofiarą katastrofy na Indyjskim Oceanie, można było niektóre części uratować i złożyć pomimo, iż leżały trzy miesiące w morzu. Statek znajdował się w drodze z Londynu do Melbourne. Uratowane listy noszą pocztowy stempel z Londynu z listopada 1861 i australski stempel nadejścia z 22 maja 1862. Osobna uwaga mówi, że za te listy nie należy się żadna kara, pomimo że znaczki odkleiły się w wodzie.

W ten sposób doszliśmy do czasu, kiedy zaczęto używać znaczków pocztowych.

Wiadomem jest, że historja znaczków pocztowych rozpoczyna się w Londynie od Pennyportobill, od którego to czasu datuje się sławna 1 Penny-Victoria, znaczek z Rowland Hill.

23 sierpnia 1839 urządzili londyńscy lordowie skarbu konkurs na przesyłanie projektów w związku z Pennypost. Na 2600 propozycji doszedł do skutku projekt nalepianej marki, jeszcze przed czarnym znaczkiem James Chalmers'a, o czem mówi drukowany napis na, dziwnym trafem austrjackiej, pocztówce z czasów przedwojennych. Na tej kartce jest odmalowany znaczek pocztowy Chalmers'a; składa się z koła bez ozdób z napisem: „Not ex (ceeding) one ounce. Two pence“. (Do wagi jednej uncji 2 pensy). Obok znaczka czytamy tekst następujący: „Ten pierwszy znaczek pocztowy został wynaleziony w sierpniu 1834 przez szkockiego drukarza James Chalmers'a i wykonany próbnie u niego w drukarni“. Gdy w lipcu 1839 r. Rowland Hill zaproponował tylko stempowane arkusze papieru listowego i koperty i propozycja ta o mało co nie została odrzucona w parlamencie, wówczas to pomysł Chalmers'a został przyjęty i przez to uratowano Pennyportobill. — Ostatecznie Urząd Skarbowy zarządził 26 grudnia 1839 wprowadzenie znaczków pocztowych obok ostemplowanych listów Hill'a. Tekst jest podpisany przez Karola v. Gündel w Badenie i nosi uwagę, że oryginał marki Chalmers'a znajduje się w międzynarodowem muzeum pocztowych znaczków wartościowych.

6 maja 1840 został wydany pierwszy regularny znaczek Hill'a. Równocześnie wyszły też tak zwane „Mulready-couverts“ Hill'a, koperty, które sprzedawane były za 1 lub 2 penny i których używanie zastępowało porto. Były one zaopatrzone w bombastyczne rysunki, aby zaznaczyć, jak daleko mają być wysyłane, a więc w wielbłądy, słonie, murzynów, palmy etc. i dekorowały prawie cały wierzch koperty. Rysunki te zostały jednak niedługo potem zniesione dzięki kpinom trzeźwych Anglików, którzy zamiast Mulready kopert zaczęli używać zwyczajnych i te ozdabiali własnoręcznie karykaturami.

Nie tylko te prawdziwe i bezwartościowe koperty są zachowane, lecz też i okólnik „do wszystkich pocztmistrzów“, który informuje urzędników o wprowadzeniu czarnej Pennymarki i kopert, opisuje markę dokładnie i ostrzega pocztmistrza przed fałszerstwem. Od czasu tej pierwszej marki Anglja wydała 241 znaczków (oprócz odmian: 87 z czasów Wiktorji, 192 z Edwardem VII, 45 z Jerzym V, 42 z Edwardem VIII-ym i 5 z Jerzym VI. Reszta to znaczki służbowe i karne.

Ciekawem jest, że w roku 1850 planowane były też znaczki z podobizną księcia Alberta, męża królowej Wiktorji.

Niektóre gablotki są poświęcone specjalnościom filatelistycznym z czasów wojny z Burami. Listy z winietą „otwarte z powodu prawa wojennego“, listy z angielskich obozów jeńców wojennych na Cejlonie i św. Heleny z nadrukiem „censored“ i takie z obozów Burów z holenderskim napisem „gezien“ (widziane). Z czasów wojny światowej pochodzą fałszerstwa marek, które zrobione były w drukarniach państwowych aliantów, austrjackie 5 i 10 halerzy, bawarskie 5, 10 i 15 fenigów, używane przez angielskich szpiegów i które są zachowane na autentycznych kopertach.

Bardzo wartościowemi są pierwsze lotnicze koperty, listy wysłane pocztą balonową podczas oblężenia Paryża 1871, które są pierwszymi lotniczymi listami wogóle. Z roku 1919 jest koperta datowana z pierwszego lotu Anglja-Indje, z tego samego roku z pierwszego lotu Anglja-Austrjalja — który przedsięwzięli bracia Smith w 27 dniach i 20 godzinach. Także z roku 1919 pochodzą koperty z pierwszego lotu transatlantyckiego Ameryka-Anglja, podjętego przez von Alcock i Brown jeszcze przed Lindberghiem. Można tu też oglądać listy z pierwszego lotu naokoło świata. Lecieli z Londynu jeden na wschód, drugi na zachód i po obleceniu ziemi naokoło powrócili znowu do Londynu. Jeden leciał poprzez południowy Atlantyk, Natal, Brazylję, San Francisco, Hongkong do Londynu, drugi przez Paryż, Natal i dalej przez te same miejscowości, tylko w przeciwnym kierunku.

Najbardziej fascynującą jest gablotka szklana, w której leżą tylko dwa arkusze zwykłych niebieskich dwa i pół pensowych“ Silverjubily“ znaczków z Jerzym V. Odróżniają się tylko przez odcień koloru. Jeden arkusz ma kolor niebieski „ultramarin“, drugi błękitu pruskiego, różnica, którą powierzchowny badacz spostrzega dopiero przy porównaniu jednego koloru z drugim. Podczas, gdy kolor „ultramarin“ jest zwyczajnym odcieniem aprobowanym osobiście przez króla, z koloru drugiego jaśniejszego jest w całości tylko 319 egzemplarzy, z których został zachowany arkusz, składający się z 60 sztuk. Młody zbieracz znaczków pocztowych, który kupił sobie w czasie wydania jubileuszowych znaczków jedną markę, spostrzegł, że marka, którą dostał odróżnia się trochę kolorem od zwykłej. Miał szczęśliwą myśl zażądania całego arkusza, który nabył po normalnej cenie 60 razy po dwa i pół pensa. Dzisiaj ma ten arkusz fantastyczną wartość 5000 funtów szterlingów!

Wystawione skarby, miljon sztuk częściowo z własności ostatniego cara rosyjskiego Mikołaja, stanowią wartość ogólną 150.000 funtów szterlingów i są przez dzień i noc strzeżone przez specjalnych stróżów i to nietylko przed kradzieżą, ale i przed promieniami słonecznymi, które mogłyby im zaszkodzić.

P. Fabrizius.

„Kolące" drobnostki pożycia małżeńskiego



Panowie lubią, aby podziwiać i zachwycać się siłą ich muskułów...

Wstępując w związki małżeńskie, marzymy o szczęściu. Szczęście! Może to za mocne słowo, a może i nie, boć przecież celem, ku któremu zdążamy poprzez wszelkie perypetje życia, jest właśnie osiągnięcie szczęścia, powodzenia, radości. I jak różnym jest każdy człowiek pod wzgldem upodobań, stopnia kultury, delikatności uczuć czy wrażliwości, tak różnem jest szczęście, jakiego dla siebie pragnie.

Poniżej: Na telefon zawsze będzie czas... Przedewszystkiem trzeba pożegnać się z mężem!



Powiadają jedni, że szczęście to los, przypadek, życiowa szansa. Inni dowodzą, że szczęście nosimy sami w sobie i tworzymy sami dla siebie i dla innych. Że szczęście to silna wola do zdobywania tego szczęścia przez stały wysiłek. Że to skoncentrowane dążenie i rozumne usuwanie przeszkód. — Szczęście wyklucza egoizm, łatwość czynienia drugim błahych wyrzutów i wszelkiego rodzaju przykrości. To jednolity blok duchowego profilu człowieka.

Szczęście obejmuje wszystko. Życie prywatne i publiczne, rodzinę i przyjaciół, zdrowie moralne i fizyczne, miłość i wszelkie uczucia z niej płynące. To też tysiące drobiazgów decyduje o naszem szczęściu i w tysiącach drobnostek możemy je rozdzielać pomiędzy bliźnich. W kółku każdego i każdej z nas wytworzyć możemy atmosferę szczęścia, o ile przyjrzymy się drobiazgom, zaciemniającym łatwo harmonję, ku której dążymy. Mąż, który pragnie szczęścia żony,, żona odwzajemniająca mu się tem samem, to coraz rzadsze przykłady, bo tysiączne kłopoty życiowe oddaliły poprostu od wielu osób wszelkie myśli o zagadnieniach wyższego rzędu.

Ale wystarczy pewnego dnia podsumować życiowe walory, wnoszone przez obie strony do wspólnego życia, a pokaże się, jak łatwo rozświetlić je przebłyskami szczęścia. Czy to przez usunięcie raz na zawsze niepotrzebnych wymówek, zrodzonych najczęściej ze złego humoru, czy też przez zaprzestanie dramatycznych scen, ciągłych żalów i żądania zbytecznych wyjaśnień. Jeszcze bardziej oczyści się atmosfera małżeńska, gdy usunie się z niej wszelkie stereotypowe, do znudzenia powtarzane nauki moralne, ubrane w formę niemalże przysłów, których już pierwsze słowo stawia drugą osobę jak na rozżarzonych węglach.



Żona znająca słabostki swego męża potrafi uczynić jego powrót do domu naprawdę miłym.

Tych „kolców" pożycia małżeńskiego jest dużo. Gdy podamy z nich kilka, wystarczy, by Czytelnicy mogli uzupełnić sobie resztę własnemi obserwacjami. Oto próbka, jakich powiedzeń powinni się wystrzegać mężowie w rozmowie z żonami:

Poniżej: Naprawki garderoby powinna pani dokonać zawczasu, aby w ostatniej chwili nie były one powodem do załamywania rąk...



Kobiety nie rozumieją się na żartach...

...nie widzą nigdy dalej od swego nosa...

...są zawsze gadatliwe...

...lubią tylko plotki...

...nie są zdolne do pojmowania szerszych idei...

Najlepsze zatrudnienie dla kobiety, to cerowanie skarpetek.....

Ptasie mózgi...

Wystarczy trochę pochlebstw, aby zdobyć każdą z was...

Są też tysiące ostrych słóweczek, któremi ukłuć potrafi płeć piękna swych partnerów życia domowego. Wyjmujemy z tego „repertuaru" kika próbek dla przykładu, czego należy koniecznie unikać dla wspólnego dobra. Nie należy więc mówić:

Każdy mężczyzna uwierzy we wszystko, co mu się opowiada...

Ustanawiacie prawa, a sami dajecie się wodzić za nos.

Ach, jacy wy jesteście egoiści...

Zarozumiałość męska jest bez granic...

Żeby się wam podobać, wystarczy nauczyć się pochlebstwa...

Pierwsza lepsza kokietka zrobi z wami, co zechce...

No, naturadnie, jesteś taki, bo ja nie miałam posagu....

Czemuś się nie zastanowił przed małżeństwem ze mną...

Odrzuciwszy z repertuaru te i tym podobne „złote myśli“, oczyścimy jeszcze lepiej atmosferę domową, jeżeli przypomnimy sobie, że uprzejmość i grzeczność to niekoniecznie luksus, na który można się zdobyć jedynie wobec obcych. Zastosowane w pożyciu małżeńskiem, stworzą pomost zbliżenia, nawet tam, gdzie jest dużo do odrobienia, nawet tam, gdzie padły już tak gorzkie, raniące dumę własną słowa, które pamięta się nawet po upływie wielu lat.

A może potem potrafimy się już zdobyć na tyle pobłażliwości, że zawita uśmiech i rozjaśni jeszcze więcej zakamarki współżycia pani i pana?

Uśmiech odmładza twarz, powinna Pani o tem pamiętać. Nie zawadziłoby nawet dla samej gimnastyki kilka razy w ciągu dnia wywołać uśmiech na twarzy, aby ją utrzymać w wiośnianej świeżości. Nie będzie wtedy tak przykrego spotkania z własną zamartwioną, postarzałą twarzą w lustrze. Życie wypisuje nam na twarzy tyle smutnych rysów, to też trzeba koniecznie temu przeciwdziałać. A w delikatnym uśmiechu łagodności i dobroci rozwijają się najlepsze instynkty i uczucia.

Z nich wykwitnie kurtuazja i dobrotliwa pobłażlikość dla nieszkodliwych zresztą nawyczek, czy nawet śmiesznostek, tak niemile czasami widzianych, a od których jakże trudno jest się czasem odzwyczaić.

I czyż jest w tem coś złego, że mąż lubi



Baczne oko żony kontroluje wygląd garderoby męża, który właśnie ma wyjść z domu.

popisywać się swą siłą, wyrobieniem muskułów? Albo to, że żona jest troszkę zalotna, dba starannie o swą cerę i przyszedłszy do kawiarni, poprawia kredką nieskazitelny rysunek warg?

A jak ucieszy to pana, kiedy wracając wieczorem do domu, zobaczy wychodzącą na jego spotkanie żonę, która nie zapomniała o jego ulubionych cygarach i wygodnych pantoflach i pyjamie. Również miło mu będzie, kiedy wychodząc z domu, będzie mógł zasięgnąć opinji o swym wyglądzie u tak miarodajnego arbitra, jakim jest własna żona. Lepiej więc, kiedy pani tę chwileczkę czasu mu jeszcze poświęci, a nie załatwia np. telefonicznej rozmowy, którą można i później przeprowadzić. Żegnanie się małżeństwa na przeciąg kilku godzin pracy zawodowej, to moment, który nie powinien rozdzielać ich duchowo, a raczej łączyć. Pod wrażeniem pożegnania jakże chętnie powraca się myślą do ciszy domowej i czekającej żony

Obie strony znajdą dość sposobności dla wykazania pobłażliwości w drobnostkach. Niechże to panów nie gniewa, gdy w cieniutkiej pończoszce pięknej pani „puści“ oczko i trzeba je momentalnie uchwycić, aby naczas zaradzić złemu. To moment pobłażliwości dla płci pięknej.

Życie przynosi z dnia na dzień niekończące się warjanty takich i podobnych drobnostek, odgrywających wielką rolę w pożyciu małżeńskiem. Kto umie się ponad nie wywyższyć i odsunąć je delikatnie, zamiast rozdmuchiwać ich znaczenie do rozmiarów plag egipskich, ten kładzie najlepsze fundamenty pod harmonję domową, będącą jednym z atutów szczęśliwego pożycia, o którem wszyscy marzą. Szkoda tylko, że w zetknięciu z rzeczywistością mało kto chce popracować nad osobistem szczęściem, a nad niem właśnie pracować trzeba.

Ajaks.

Dokończenie ze str. 6-ej.

wiane wojsko stało twarzą do przejeżdżających, teraz stoi twarzą do publiczności i słusznie.

Mussolini podobnie jak i inni dyktatorzy nie lubi wydalać się z kraju. Przebywa najwięcej w Rzymie przy swem biurku. Samochodem przejeżdża tak szybko i nie zapowiedziany, że zamach jest niemożliwy. Oczywiście policja w ostatniej chwili dostaje umówiony sygnał, zapowiadający przejazd i stosuje się do obowiązujących w takim wypadku przepisów. — Rozrywek używa niewiele. W teatrze bywa nader rzadko, czasem jedzie motocyklem, ale wtedy jest tak zasłonięty overallem i okularami, że nikt go nie może poznać. — Konno jeździ tylko na swych prywatnych terenach, a jedyna może niebezpieczna zabawka to używanie kąpieli w morzu. Pozatem praca i praca po kilkanaście godzin dziennie.

Bezpieczeństwo Duce'go powierzone jest specjalnemu oddziałowi policji politycznej, działającemu nietylko w kraju ale i zagranicą. Specjalnie zaś polecone jest pilnowanie Ducego paruset wybranym policjantom. Zwraca się baczną uwagę na wyloty ulic, któremi może przejeżdżać (łatwo tam ukryć bombę!) i okna oraz dachy. — Okna stały się podejrzane od chwili gdy jakiś wojskowy z okna właśnie chciał strzelać do Duce z karabinu!

Czy ostrożności włoskie są mniej ściśle stosowane, czy jego wrogowie są bardziej „żywi“ nie wiem, ale fakt jest, że Mussolini był już parę razy celem zamachów i to dość oryginalnych. Interesującem jest że nietylko na Hitlera ale i na Mussoliniego zrobiła zamach kobieta i to nawet bliski udania się, bo kula przeszła tuż koło twarzy.

Stalin? Ten jest chyba w najgorszem położeniu. To też zrobił z siebie pustelnika i prawie nie opuszcza Kremlu. Dostęp do Stalina jest prawie niemożliwy od czasu gdy zabito jego przyjaciela Kirowa przy biurku. Straż uzbrojona po zęby i wielokrotna kontrola, dziesięć razy zastanowi się nim dopuści kogo przed oblicze „opiekuna ludu“. Publicznie pokazywał się Stalin tylko podczas ważnych pogrzebów i parad wojskowych. Teraz i to zmieniło się. Używa sobowtóra, o czem zresztą wiedzą jego wrogowie, jak to doniosła tajna stacja radjowa w swem przemówieniu koło 1 maja b. r. W związku z tem sobowtórem właśnie zaprowadzano nawet kontrolę samego Stalina, który też musi pokazywać papiery stwierdzające jego identyczność. Nie używa aeroplanu. Straż składa się z najbardziej zaufanych rodaków z Kaukazu.

Kemal Pasza jest narówni z wymienionemi najdokładniej pilnowany. — Przebywa przeważnie w Angorze i tu może do pewnego stopnia uważać się za bezpieczniejszego od swych wyż podanych kolegów. — Ma za to jedną wadę (z punktu widzenia policji!) lubi odwiedzać kabarety! To też jego wycieczki do Konstantynopola są powodem bladego strachu jego opiekunów. — Nic dziwnego, przecież: taka metropolja gęsto zabudowana, jak Konstantynopol, to idealne schronisko dla wszelakiego rodzaju elementów przewrotowych. Co prawda ma stałą gwardję przyboczną złożoną z kilku oddanych na śmierć i życie strażników. — Prócz tego szereg tajnych detektywów towarzyszy mu stale. — W związku z tem warto przypomnieć, że Kemal miał początkowo swój przyboczny pułk pod dowództwem Topala Osmana, który miał poruczone jego bezpieczeństwo. Nadszedł jednak moment, gdy dowódcy pułku przewróciło się nieco w głowie i zaczął stawiać wygórowane wymagania. Wtedy Kemal zrobił krótki proces — wystrzelał wszystkich i wybrał sobie nowych opiekunów z republikańskich gwardji.

Reasumując można stwierdzić, że motto wszystkich zarządzeń mających chronić dyktatorów jest: skrytość, szybkość i czujność.

Jerzy Dołęga Lewandowski.

Dokończenie ze str. 8-ej.

szą serję ceramiki wzorowanej dokładnie na niemal zapomnianych już wzorach ceramiki cieszyńskiej z przed stu lat.

Chcąc powołać do życia dawne warsztaty garncarskie, Towarzystwo zorganizowało trzyletnie kursy ceramiczne w Strumieniu, gdzie kształcą się uzdolnieni chłopcy wiejscy z dawnych ośrodków ceramicznych Śląska.

Towarzystwo P. L. i D. postarało się także o zorganizowanie działu wyrobów drewnianych, który wyprodukował pewną ilość czerpaków, kasetek lipowych i barwnych skrzynek śląskich o charakterze pamiątkowym. Produkcja ta, stworzona przejściowo, miała na celu pokrycie zapotrzebowania na wyroby chałupnicze w związku z „Tygodniem Gór“.

Sekcja metalowa Towarzystwa wykonuje w swych warsztatach narazie koziki ondraszkowe i ciupagi żelazne — jednak w przyszłości ma ona być znacznie rozszerzona i przystosowana do szeroko zakrojonej produkcji.

Prócz wyżej wymienionych działów Towarzystwo P. L. i D. zorganizowało jeszcze sekcję przeróbki wełny i sekcję jedwabniczozielarską i opracowało dwa popularne wydawnictwa: „Śląsk Cieszyński w obrazach“ i „Wzorce zdobnictwa ludowego“.

Towarzystwo, chcąc zapoznać jaknajszersze warstwy społeczeństwa z bogactwem ornamentu śląskiego, urządziło podczas „Tygodnia Gór“ oraz w dniach od 30 IV do 7 V br. w Cieszynie pokazy, obejmujące ceramikę, hafty ludowe, koziki ondraszkowe i wzorowane na nich noże harcerskie, skrzyneczki drewniane, malowane na wzór „trówel“, koronki koniakowskie, oraz barwne obrazy skrzyń, dzbanów, mis, oryginalnych haftów ludowych, projektów fryzów, kafli i t. p.

Towarzystwo, które z taką energją przystąpiło do pracy w szczytnej misji wskrzeszenia zanikającej na terenie Śląska sztuki ludowej, poszczycić się już dziś może pięknemi rezultatami swej pracy, którą ułatwiły w znacznej mierze subwencje śląskich władz wojewódzkich i instytucyj, oraz przedewszystkiem — gorące poparcie wojewody śląskiego dra Michała Grażyńskiego.

Jot.

ANTINOUS XX. WIEKU
ARTYSTA FILMOWY TYRONE POWER

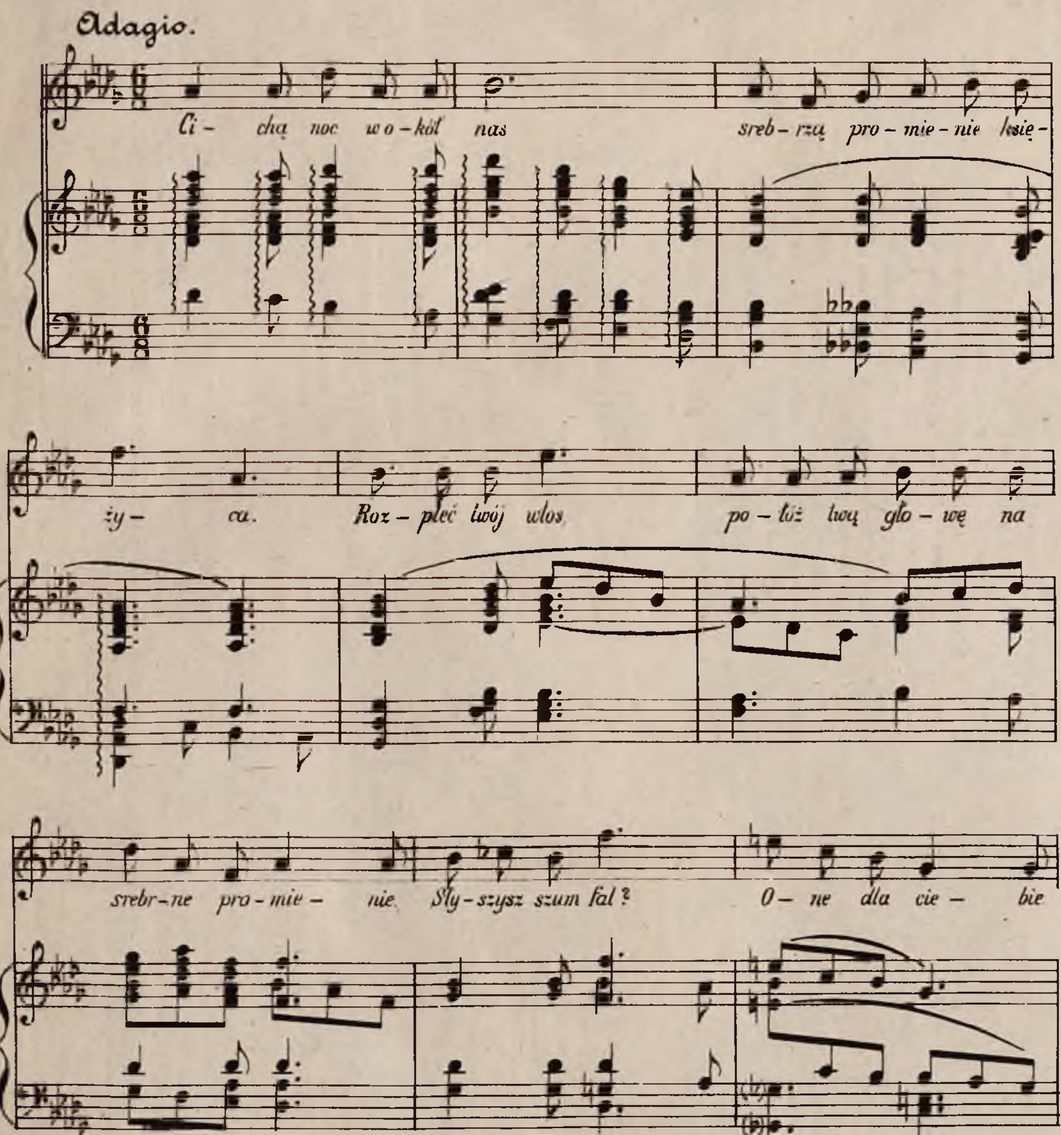


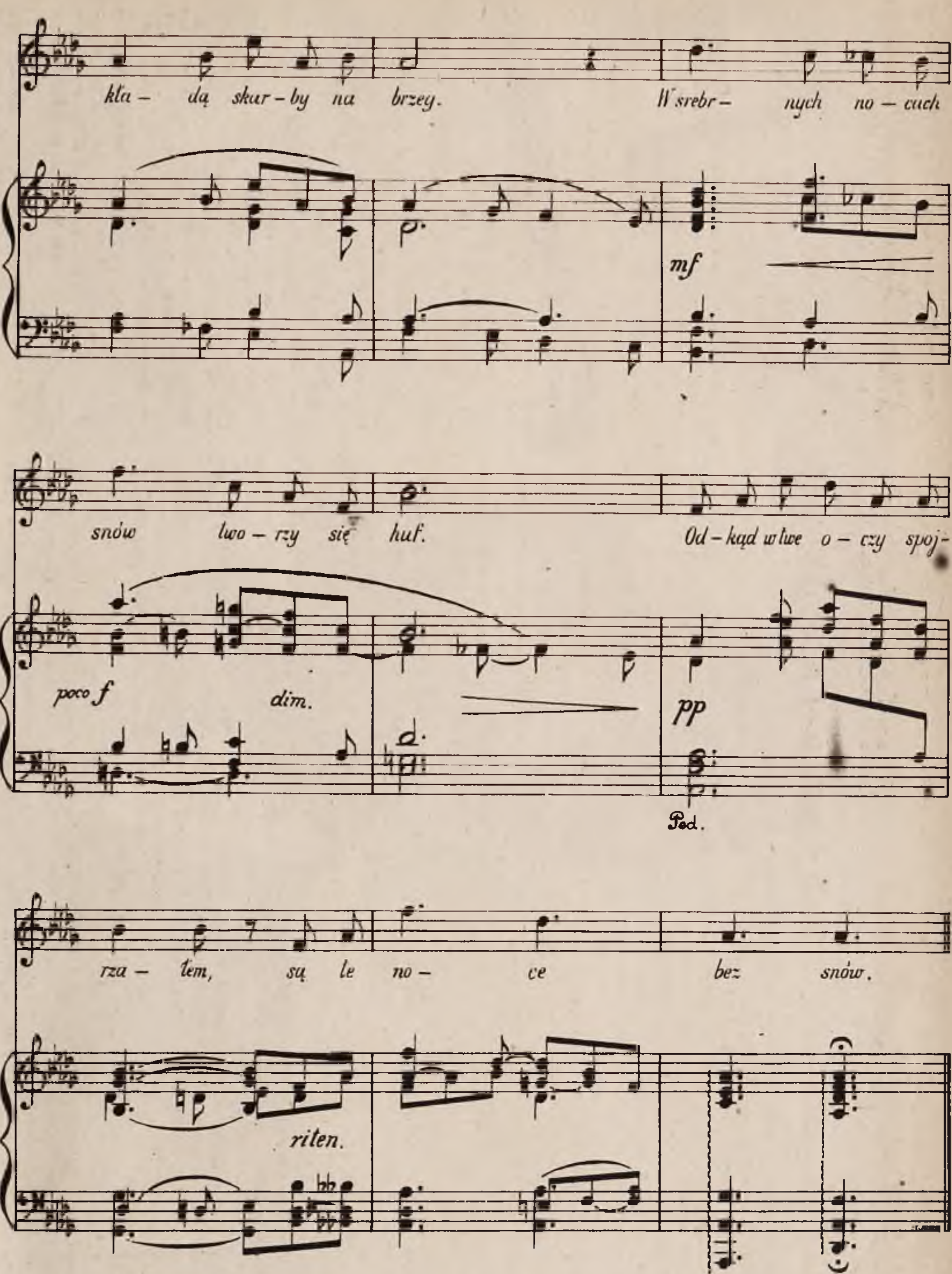
Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA"

NOCE BEZ SNÓW

PIOSENKA

Słowa i muzyka:
LUDWIK MASCHOFF





JERZY KATYŃSKI

Śmierć KAPITANA CERTY

★

NOWELA

Kiedy biała postać pielęgniarki zniknęła za drzwiami, kapitan Certa zapatrzył się w promienny kwadrat okna. Słychać było delikatny brzęk much i cichy poszum wiosennego wiatru. Jak nagie ramię drżała za oknem, obsypana srebrzystemi płatkami, gałąź kwitnącej czeremchy.

W pokoju jest jasno i spokojnie. Kapitan wyczuwa dłońmi szorstką nierówność koca. Duże ręce odbijają ciemną opalenizną od sztywnej poszewki, a niepokojącą bielą od rękawów ciemnej koszuli.

Kapitan Certa patrzał na ręce. Był teraz poza tem wszystkiem. Nie należał do siebie. Po raz pierwszy w życiu obserwował siebie i swoje myśli. To jedno co pozostało z dawnego kapitana Certy, to były ręce. Duże zgrubiałe ręce marynarza. Prostego marynarza.

Kapitan Certa myślał o rękach. Właśnie o tych stwardniałych marynarskich dłoniach.

...To była przecież drobnostka. Normalny na północnem morzu sztorm. Tyle tylko, że padał śnieg. A właściwie nie padał, ale kłuł. Gęste, uporczywe, zmarznięte igły. Wbijały się głęboko w skórę i raniły ostro, jak prawdziwe igły stalowe i twarde.

Rekrut Certa z podniesionym kołnierzem bluzy i wtuloną nisko w ramiona głową (jak najmniejszą powierzchnię skóry należało poddawać pod uderzenia wiatru), zwrócił się do kapitańskiego mostku. — Stał tuż — obok, ale musiał krzyczeć donośnym głosem, aby usłyszał go kapitan.

...„Hallo captain...!".

I to było właśnie wtedy. Potężna masa wody, falująca zielonemi refleksami i skrząca pianą, runęła na statek, który drgnął i zatrzeszczał w wiązaniach. Kapitanowi kotłująca się toń zdusiła słowa kotłujące się w gardle. Fala porwała go i rzuciła wdół, z mostku, prosto w ramiona rekruta Certy. A rekrut Certa zaparł się wtedy w sobie, wpiął mocno stopami w uciekający, chybotliwy dek i wolną ręką (drugą trzymał się poręczy) objął silnie, ciśnięte weń ciało tamtego. Fala przeszła. Kapitan podniósł się, jakgdyby nigdy nic i spojrzał mu w oczy.

Tego spojrzenia, rekrut — a potem kapitan Certa nie zapomni nigdy w życiu.

Kiedy przybili do Halifaxu i jak to zwykle bywało kapitan zmieniał załogę, został na statku tylko jeden z dawnych. Rekrut Certa wyniesiony do godności bosmana werbował potem nowych ludzi, na nową, daleką podróż.

A poduszka ugina się elastycznie pod głową. Kapitan przeciągnął się w łóżku. I znów ten dojmujący ból pod lewą łopatką.

...Było to w Jokohamie. Przybił na własnej małej dżonce i wyładował stosy jakichś świecidełek i głupstw. Ale zapłacili dobrze. Kiedy potem wieczorem wyszedł z knajpy i błądził po mieście, natknął się na grupę pijanych marynarzy.

Ocknął się w jakimś zaułku portowym pod wrażeniem dojmującego bólu i chłodu spływających po czole kropel wody. I znów zobaczył nad sobą czerwoną rozwichrzoną czuprynę.

Rudy Pitt zaciągnął się potem na jego statek. Przechodzili razem dobre i złe koleje. Zawsze milczący i zawsze razem.

Nie pytał jeden drugiego o przeszłość.

...Kiedy wówczas tamten wyjął pieniądze... Prawda, że był pijany. Obaj. Ale mimo to nie powinien tak bez ceremonji zostawić tamtego na lodzie. Widzieli się pierwszy raz i — jak dotąd ostatni. — Czy ostatni?

Chociaż... przecież mógł nie dawać tylu pieniędzy obcemu. Tak — właściwie obcemu. A wiedział, że kapitan niema grosza przy duszy. Stawiał ostrożnie z rozmysłem drażniące, wspaniałe obietnice i bawił się niby machinalnie niebieskimi banknotami. A potem... że niby na chwilę... do potrzymania... a pili coraz więcej. Nawet przez chwilę myślał, że to podstęp. Że tamten za chwilę zerwie się... i rzuci na niego i...

Ale tamten był pijany i już całkiem nieprzytomny. Wtedy kapitan Certa wyszedł szybko, ściskając dłonią w kieszeni banknoty.

Kapitan Certa szedł pewnym — aż nazbyt pewnym krokiem do przystani. W myślach majaczyły mu kontury nowego, własnego statku.

Nad zatoką lśnił wielki czerwony księżyc. Ale Rudy Pitt też nie opowiadał swoich przeżyć.

Drzwi skrzypnęły. Weszła pielęgniarka.

...Nie — kapitan nie ma spejalnych życzeń. I siostra może spać spokojnie.

Wyszła, rzucając spojrzenie spod długich, zawiniętych rzęs. One wsystkie mają takie dziwnie długie rzęsy.

...Ale tamto było tylko fragmentem. Może dlatego wbiło się tak głęboko w pamięć, że to był jedyny moment słabości.

Tak. — Kapitan Certa nazywał to słabością.

To była właściwie wina wąskiej i głuchej klatki schodowej w tym hotelu, w Singapore. Hotel nazywał się, o ile pamięć nie myli, „Fenix" — czy...

A schody były kręte i wysokie i żaden odgłos z nich nie wybiegał nazewnątrz. To był właśnie powód wszystkiego, bo w innym razie znalazłby się pewnie inny — i on nie musiałby się potem wstydzić paru głupich chwil, zmarnowanych całkiem niepotrzebnie.

Wchodził właśnie na swoje poddasze, kiedy zdołu usłyszał podniesione głosy. Męski i kobiecy. Kapitan Certa z prostej ciekawości (potem często przeklinał tę ciekawość, bo ona właśnie była przyczyną wszystkiego złego, które nastąpiło potem), przechylił się przez poręcz i spojrzał wdół. Tego młodzieńca znał z widzenia, bo mieszkał tu także od paru tygodni, ale kobiet^ widział pierwszy raz. Sprzeczali się o coś podniesionym głosem. Głos przechodził czasami w głęboki, niski alt.

I właśnie wtedy kapitan ujrzał coś, wskutek czego w dwóch skokach znalazł się na piętrze — przy nich. W następnej sekundzie rewolwer został wyrwany z ręki mężczyzny, a on sam znalazł się na ziemi, ogłuszony mocnem uderzeniem w skroń.

Kapitan stał i nie pojmował jeszcze, co tu się właściwie stało. Kobieta uczepiła się jego rękawa i krzyczała coś, czego on absolutnie nie mógł zrozumieć. Młodzieniec podniósł się i podszedł. Był blady i miał poszarpane włosy. Kobieta cofnęła się instynktownie i oparła o mur. Patrzała szeroko rozwartemi źrenicami.

— Niech mi pan odda mój rewolwer — proszę się nie bać, ja już idę — syknął tamten.

Kapitan, milcząc, podał mu na dłoni małą, błyszczącą maszynkę. Wtedy nieznajomy cofnął się o krok... ale rozległ się tylko suchy trzask iglicy. — Certa roześmiał się cicho.

— Magazyn wyjęty. — Nie jestem przecież aż tak naiwny.

Tamten, nie powiedziawszy ani słowa, zaczął schodzić ze schodów. Na którymś tam stopniu odwrócił się. Ale ku zdumieniu kapitana nie patrzał na niego, lecz na kobietę.

— Szkoda... — wycedził przez zęby.

Kiedy zniknął na zakręcie schodów, kapitan zwrócił się do dziewczyny, która wciąż drżała nerwowo.

— Gdzie pani mieszka — zapytał.

— Nigdzie — szepnęła...

— Pójdziemy do mnie — znajdzie się trochę miejsca.

...Została u niego trzy miesiące.

Trwało to tylko trzy miesiące, bo kapitan Certa nie liczył późniejszych dalekich, obłąkanych listów. Dzikich listów, pełnych jakichś gróźb i zaklęć, pisanych pod wpływem szalonej, opętanej nadziei późnemi nocami, dartych rano, znów przepisywanych ze zbieranych troskliwie skrawków i wysyłanych pod jakieś przypuszczalne adresy. Kiedy wreszcie zrozumiał, że się skończyło, stał się nagle całkiem spokojny i już wiedział, że tak się musiało stać. Tylko wtedy wypełzła skądeś, jak uchwycona na kliszy postać i odrzucona wtył głowa.

— Szkoda — syknięte głucho w pustkę schodów.

Kapitan Certa nie myślał o przeszłości, kiedy stał na mostku i gładził pieszczotliwie szorstką dłonią błyszczącą, gładką poręcz. Za chwilę wyjdzie z luki Rudy Pitt — przyłoży dłoń do ust:

— Hallo captain — śniadanie.

Nad horyzontem gasną ostatnie gwiazdy. Wiatr cichnie za oknem białego pokoju. Na ziemię padają wolno białe płatki czeremchy. Jest pachnąco i sennie. Mrok jest dobry, bo ucisza myśli i łagodzi ostrość konturów. Trzebaby zapalić lampę — ale reka jest taka ciężka i tak trudno ją dźwignąć.

Kapitan Certa zapaliłby chętnie papierosa. Jest ciekawy, jak wyglądałaby jego własna twarz, dziwacznie, karykaturalnie wydłużona przez czarne cienie w nikłym płomyku zapałki.

Aluminjowa popielniczka na stoliku brzęczy czasem głucho. Pewnie ulicą przejeżdża samochód.

...W samochodzie tuli się do kogoś dziewczyna. Ma jasne, przeświecające na skrętach włosy i szare, głębokie oczy. Na bladej twarzy odbija czerwień pąsowych ust.

W lokalu gra jazz. Ogromny murzyński bęben wybija rytmicznie takt. W rytm wirują sennie pary. Wino perli się w kieliszkach. Powieki kobiet drgają nerwowo...

Nad szarym Pittsburgiem rozbrzmiewa ryk fabrycznych syren. W chmurze dymów sterczą wysokie kominy. W załomie ściany fabrycznej podnosi głowę mały, bezdomny chłopiec.

Napewno, napewno właśnie teraz powtarza się dawna scena. Długi, przejmujący okrzyk w nagle nastałej ciszy. Czyjeś ciało, wirując, spada w czeluść roztopionego żelaza...

Stal potrzebuje ofiar — mówi stary Davy. Żuł bezzębnemi ustami wyrazy, twarz kurczyła mu się w niezliczonyh zmarszczkach, a z kącików ust ciekła ślina.

— Życie pochłania ofiary — mówił kapitan Certa, kiedy sam jeden ocalony patrzył bezsilnie, jak fale rzucają o rafy pozbawioną steru i żagli jego „Daisy". Rudy Pitt i załoga byli gdzieś w falach.

— Życie pochłania ofiary.

Ból w piersi staje się dokuczliwy. Na czoło wypełza drobnemi kropelkami pot.

W fale Pacyfiku uderza pierwszy promień wschodzącego słońca. Gdzieś w cieśninie Behrynga, między półwyspem Kamczatki a skalistemi zboczami Alaski wstaje następny dzień. Blask oblewa zbocza samotnych Aleutów...

...Parowce znaczą drogę po oceanie długiemi smugami dymów. Północne śniegi drzemią w potwornych nawisach nad brzegami silnych przepaści.

Na schodach słychać czyjeś kroki w takiem zwolnionem dziwnem tempie. Drzwi skrzypią cichutko. Ktoś staje obok... Mówi

coś tak strasznie.. tak niepokojąco powoli. Głos rozbija się wyraźnie na atomy i każde słowo, każda zgłoska wibruje długo w powietrzu. Jakaś postać koło łóżka. Głowa wstrząsa długą, jasną grzywą... Dotyk dłoni dochodzi tak bardzo z daleka. Tamten szept rozlewa się w cichy szmer. Potem nagle zgrzyt — jak rozkręcanej sprężyny...

— — — — — — — —

Po falach południowego morza mknie okręt. Drobne grzywy piany muskają pieszczotliwie strome burty. Wyhaftowana na dziobie błyszczącemi literami widnieje nazwa: „Daisy".

Na mostku kapitańskim niema nikogo. Ale załoga pracuje i po chwili białe żagle wydymają się napięte wiatrem.

Księżyc wschodził nad brzegami Oahu i prześwietlał długie cienie palm, kiedy w oddali wyrosła samotna wyspa. Wyczarowana z dna — odległa, Tristan da Cunha.

A teraz cała załoga patrzy nie na wyspę, ale gdzieś daleko. Na twarzach maluje się wyczekiwanie.

Przed lukę wylazł Rudy Pitt. Stanął na szeroko rozstawionych nogach i przyłożył dłoń do ust:

— Hallo captain....

Za oknem drżała gałąź kwitnącej czeremchy.

JERZY JACKIEWICZ

SŁOWO BERTA HUXLEY'A

Tego wieczoru nie można było znaleźć ani jednego wolnego stolika. „Victoria" cieszyła się zasłużoną sławą i zawsze miała powodzenie, ale takiego tłoku dawno tu nie było.

Kelnerzy we frakach, jak jaskółki biegali po sali. Orkiestra grała najnowsze przeboje: sentymentalne slowfoxy i szaleńcze passo doble.

Było duszno.

W małym pokoiku, przylegającym do głównej sali, siedziało kilku panów przy cocktailu.

Jeden tylko Bert Huxley nie pił — nie robił tego nigdy przed wyścigami. Uważał. że czarna kawa zastępuje doskonale alkohol, a ryzyko jest bez porównania mniejsze.

Huxley nie ryzykował nigdy. Nie lubił - złośliwi twierdzili, że nie... umiał.

Brawura, właściwa tylu młodym motocyklistom, nie była nigdy jego wadą... a może zaletą.

Panowie przy stoliku prowadzili ożywioną rozmowę. Oczywiście tematem były, jak zwykle, wyścigi „Grand Prix" w Indianopolis.

Dym cygar kłębił się nad głowami rozmawiających, a wentylator wył bezsilnie.

— Bert wygra jak zechce — zakonkludował wreszcie łysawy blondyn, o spotniałej twarzy i przyciasnym kołnierzyku.

Towarzysze nie zaprzeczyli, tylko mały brunet rzucił niby od niechcenia:

— Tarroni startuje...

Grubas był wyraźnie speszony.

— Startuje?... — powtórzył z niedowierzaniem.

— Tak, dziś się zgłosił, po terminie... zrobiono dla niego wyjątek...

Huxley obojętnie puścił dym z cygara i dopił kawy, ale towarzysze jego stracili nagle chęć do rozmowy.

Wierzyli w swego mistrza i byli pewni, że nikt mu nie może poważnie zagrozić, a jednak nazwisko sławnego Włocha, jak klin wbiło się w atmosferę beztroski i dobrego humoru; powiało naraz czemś nieobliczalnem, nieokreślonem, nieoczekiwanem...

— — — — — — — —

Huxley zawsze sam przygotowywał maszynę do startu. Nie wierzył w dokładność innych, trzymał się zasady, że wierzyć można tylko sobie.

Motocykl był przygotowany do wyścigu już od paru tygodni, ale stary mistrz do ostatniej chwili spędzał czas przy motorze.

Teraz stał pochylony nad motocyklem i sprawdzał luz w kierownicy.

„Hallo, Bert!..." — usłyszał nagle znajomy, miły głos.

Młoda dziewczyna o jasnych puszystych włosach podeszła do niego.

Bert uśmiechnął się. Lubił ją, może za to, że w przeciwieństwie do innych kobiet, umiała się interesować nie tylko nim samym, ale i tem, co było mu najbliższem.

Wiedział, jak radośnie przyjmowała jego zwycięstwa; jak przyjęłaby jego porażkę?... Nie namyślał się nawet nad tem.

Nie przegrał dotąd ani razu.

— Co mi powiesz dobrego, Kate? — spytał.

Dziewczyna milczała.

— No?.. — Bert spojrzał na nią zukosa.

Bawiła się torebką, ale nie powiedziała słowa. Bert nie wciągał jej dalej do rozmowy. Nie narzucał się.

Ale Kate sama zaczęła:

— Jedziesz?... Już jutro... — rzekła.

Potem dodała nagle:

— Bert, czy ty jutro zwyciężysz?... Czy ty napewno jutro zwyciężysz?...

Wyprostował się i spojrzał jej prosto w oczy.

— Kate, ja jutro nie przegram wyścigu, tak, jak nigdy w życiu jeszcze nie przegrałem. Mnie nikt jeszcze nie wyprzedził i dopóki żyję... nie wyprzedzi. Zapamiętaj sobie to, a wiesz, że ja nigdy nie rzucam słów na wiatr. Oto wszystko.

Rozmowa się urwała.

— — — — — — — —

„Sensacja!... Dziś!... Wielki wyścig!... Sławny Włoch!... Bert Huxley... mistrz!...", ryczały głośniki radjowe, krzyczeli mali gazeciarze i czerwienią liter bryzgały afisze.

— — — — — — — —

Trybuny były przepełnione.

Bilety zostały wysprzedane już na parę dni naprzód.

Zdawać się mogło, że ten olbrzymi tłum ludzki rozsadzi i zmiażdży rusztowania, przerwie kordon i zaleje asfalt toru.

„Grand Prix" ściągnęło największych asów kierownicy z całego świata.

Tu huczy potężny „Harley" Goose'a, tam połyskuje srebrzystym grzbietem „Norton" Handricka. Huxley jest również...

Jego maszyna, spokojna, milcząca, jakby przyczajona do skoku, złoci się dumnym napisem na piersi: „Sunbeam".

Brakuje tylko tej „sławy europejskiej", „wielkiej niewiadomej" — jak ochrzciła prasa Tarroniego.

A start za minutę. Oczekiwanie, nużące, niecierpliwe.

Trybuny poruszyły się niespokojnie...

Jest!... Wleciał w ostatniej chwili.

Maszyny ustawiają się w rząd. Bert musnął ręką pierś swego motoru — „Sunbeam" — promień słońca — zwycięski...

Start!...

Ryknęły silniki, zawyły kompresory. Maszyny wyrwały z miejsca, jak rozhukane, stepowe konie.

Huxley już jest na przedzie. Jego stalowy rumak leci po nowe zwycięstwo.

Na trybunie czyjeś serce zabiło radośnie... niespokojnie...

— — — — — — — —

Bert ciągle pierwszy. Zagraża mu jednak świetny Tarroni...

Prasa nie przesadzała — Włoch to „klasa". Za nimi daleko reszta zawodników.

Obydwaj zwiększają tempo. Wiraż!... biorą bez hamowania.

— — — — — — — —

Minęły już trzy okrążenia.

Huxley nie może się oderwać od przeciwnika.

Zwiększa szybkość jeszcze bardziej... Maszyna skoczyła naprzód!...

Odsadził się nieco od swego rywala!... Włoch nie ustąpi bez walki...

Pozostaje jeszcze sześć okrążeń.

— — — — — — — —

Huxley w dalszym ciągu prowadzi... ale Tarroni ciągle się zbliża... jedzie tuż za nim...

Bert stara się zwiększyć dystans, ale odległość ciągle ta sama...

Na prostej szybkość dochodzi do dwustu... wiraże bierze na gazie...

Włoch uczepiony jego koła nie ustępuje. Na trybunach podniecenie, uczucie niepewności nawet, a jednak... wiara w swego ulubieńca...

— — — — — — — —

Idą równo... prawie koło w koło...

Nagle Włoch przypuszcza atak... Bert przewidział ten manewr... Na wirażu kładzie maszynę... Tarroni nie może go już minąć, ale nie pozostaje w tyle...

Na prostej znów atakuje... Bert obronił się znowu...

Widzów ogarniać zaczyna lekkie zdenerwowanie... Pierwszy raz od lat — Bert musi... bronić się... walczyć...

Jednak technika Huxley'a zaczyna powoli miażdżyć brawurę Włocha... Tarroni cofa się nieco... odległość wzrasta...

Bert znów jedzie równo i spokojnie...

— Jak na spacerze... — rzucił sprawozdawca radjowy do mikrofonu.

Jeszcze tylko jedno okrążenie...

Bert na przedzie.

Tarroni zmęczony szaleńczemi zrywami, widzi bezskuteczność prób minięcia rywala... słabnie...

Bert zwiększa dzielący ich dystans... Zaczynają się już sypać oklaski... pojedyńcze... nieśmiałe jeszcze... „Prędzej!... Prędzej!... Prędzej!... Bert nie zmniejsza tempa.

Jeszcze!... Jeszcze!...

I nagle!... maszyna zwalnia... Silnik zawiódł...

„Nieoczekiwane"...

Ręce kurczowo zaciśnięte na sterze. Szum w uszach...

A na trybunach cisza, ciężka... rozpaczliwa... beznadziejna...

I zimna, spokojna myśl... Pierwsza przegrana w życiu!...

Promień słońca — — Włosy Kate — — „Mnie nikt nie wyprzedzi... dopóki żyję"...

Nie wyprzedził...

Nagły skręt kierownicy i oto maszyna całym pędem wpada na ogrodzenie!...

Trzask stali i drzewa!... Eksplozja!... rozpaczny krzyk trybun... i cisza...

W górze słońce się złoci... jasne... zwycięskie...

— — — — — — — —

Nazajutrz wszystkie gazety rozniosły na cały świat wieść, że niezwyciężony as, Bert Huxley zginął w czasie wyścigu...

A potem szła mała notatka: „Przyczyna — defekt kierownicy".

— — — — — — — —

Ale tylko jedna mała blondynka, Kate, wiedziała, że Bert Huxley nigdy nie rzucał słów na wiatr...



W PEŁNI SEZONU RYBACKIEGO

W Ameryce kobiety uprawiają z zamiłowaniem rybołostwo sportowe, łowiąc nietylko pstrągi i łososie w górskich rzekach, ale także „olbrzymy" morskie. Oto dwie amatorki sportu wędkarskiego, z których prawa trzyma wędkę muchową, jej towarzyszka zaś obrotową.

Fot. Imre v. Santho — Wiedeń





Powyżej: Po natłuszczeniu powiek usuwa się krem przed pójściem na spoczynek zapomocą klepania palcami.

Powyżej: Również przykładanie kompresu z mrożonej wody zapobiega tworzeniu się zmarszczek pod oczyma.

Mądrze stosowana kosmetyka może bardzo wydatnie zatuszować liczne braki urody, spowodowane upływem lat, czy zmartwieniami, czy też wszelaką troską, jednak oczy zdradzą wszystko, cokolwiek chciałybyśmy ukryć pod makilażem. „Kobieta starzeje się najpierw w oczach" — powiadają znawcy twarzy kobiecej — i mają rację. Gaśnie nietylko blask spojrzenia z biegiem lat, ale opadają powieki i tworzą się worki pod oczyma, wiotczeje ich oprawa wraz z łukiem brwi. Do szczęśliwych zaliczyć się powinny te wyjątki, u których wiek nie znaczy się ta smutną dewastacją piękna oczu.

Pielęgnacja oczu powinna zaczynać się od bardzo wczesnych lat młodości, aby niebezpieczeństwo zostało czy całkowicie usunięte, czy też zmniejszone wydatnie, wówczas kiedy już zapóźno na odrobienie uchybień higjeny oka.

Do codziennych zabiegów powinna należeć pielęgnacja oczu, polegająca nietylko na kąpieli oka i odpowiednim masażu, ale też na pilnowaniu się, aby mrużeniem oczu, forsowaniem wzroku czy dotykanie brudnemi palcami nie wywoływać nie dających się już odrobić przykrych skutków.

Dwa razy dzienne należy poddać oczy krótkiej kąpieli z letniej herbaty lub naparu z bławatków. Działanie ich jest wzmacniające dla powiek i dodaje blasku samemu spojrzeniu. W razie zmęczenia oczu należy zastosować zimny kompres z wody różanej. Oczy szeroko otwarte, z wyrazem jak gdyby zdziwienia, nadają wysoce młodzieńczy wyraz twarzy. Warto o tem pamiętać i unikając zresztą wszelkiej przesady, korzystać z tak łatwego sposobu uwydatnienia piękna oczu.

Doskonałe są również skutki codziennej gimnastyki powiek, którą wykonujemy, powtarzając kilka razy zamykanie oczu i szybkie ich otwieranie na całą szerokość. Oczy nabierają od tego żywego blasku i wyrazu ożywienia.

Aby zapobiec obniżaniu się łuków brwi, stosuje się raz lub dwa razy na dzień następujące ćwiczenie: opiera się końce palców obu rąk na skroniach u nasady włosów i naciska się lekko palcami ku górze, jak gdyby się miało podsunąć włosy do góry. Uważać, aby przytem nie naciągać jednak skóry na skroniach.

Kto już dopuścił do utworzenia się worków pod oczyma, trudno mu będzie się ich pozbyć. W każdym razie powoduje je często jakaś przyczyna wewnętrzna, której usunięcie pod kierunkiem lekarza da odrazu poprawę. Medycyna kosmetyczna zna też sposoby leczenia tych przykrych objawów. Chcąc im domowemi środkami przeciwdziałać, należy przedewszystkiem unikać alkoholu i mocnej czarnej kawy, a ponadto stosować codziennie po obiedzie zimne okłady z mrożonej wody, którą zwilża się tampony z waty i trzyma je przez 10 minut pod oczyma.

Stosowanie specjalnych kremów na noc również może się okazać skuteczne, ale nie należy kremu pozostawiać na noc, lecz w 10 minut po nałożeniu go, usunąć przy pomocy masażu palcami, podobnego do klepania. Resztę kremu usuwa się gazą lub watką. Na dzień dobrze jest natłuścić lekko powieki olejkiem migdałowym ze słodkich migdałów.

Jeżeli chodzi o stosowanie makilażu do oprawy oczu, to trzeba wyczuć granicę wieku, od której każdy drastyczniejszy odcień będzie już raził. Tylko całkiem młode osoby mogą sobie pozwolić na bardziej wyraziste „zrobienie" oczu, jakkolwiek nie jest to już tak modne, jak bywało do niedawna.

Elwira.



Masaż twarzy przeciwdziała tworzeniu się worków pod oczyma i przykrych zmarszczek.
Fot. C. Anders — Paryż.

NOWOCZESNA KOSMETYKA

IX.

Oprawa oczu wymaga pielęgnacji

★



ŁAMIGŁÓWKI ★ MODY ★ MĘSKIEJ

Co zapakować

WYJEŻDŻAJĄC NA WAKACJE?



Do podróży samolotem, koleją, okrętem nadaje się najlepiej ubranie marynarkowe o charakterze sportowym, zaakcentowanym mimo długich spodni, odpowiednim krojem i rodzajem materjału...

Z wyjazdami na wakacje, to przeważnie jest tak:

Zabiera się dosłownie całą szafę ze sobą, a na „dokładkę" często i... komodę! Jeśli piszemy o szafie, to bynajmniej nie o tak nazwanym kufrze, lecz o całej zawartości mebla, w którym przechowujemy garderobę w mieszkaniu. Niejeden z panów podniesie zapewne w tem miejscu protest i twierdzić będzie, że opisany objaw jest przywilejem tylko płci pięknej. Że tak nie jest, dowodzi wielka różnorodność stroju elegantów, którzy przyjeżdżając nad morze, czy do modnego podgórskiego uzdrowiska, są nieraz lepiej wyposażeni, niż w mieście.

Ale i mniej zamożni chętnie wożą się z całym „dobytkiem", wychodząc z założenia, że nigdy nie wiadomo, co zajdzie, jak trzeba się będzie ubrać, by choć w części dotrzymać kroku wytwornym gentlemanom. Wszelką przeszkodę na tej drodze identyfikuje niejeden z zepsuciem sobie wakacyj, a to już wogóle nie ma żadnego sensu. Na takich nie ma jednak rady. To są poprostu malkotenci, którzy zawsze i wszędzie będą z czegoś niezadowoleni. Pomówmy o tych, co sobie mało z czego robią, zachowując jednak formy, cechujące gentlemana. Ci wszyscy napewno nie deliberują nad tem, ile to kufrów trzeba będzie taszczyć ze sobą, aby pomieścić liczną garderobę. Komplet ubraniowy takich mężczyzn, dostosowany doskonale do potrzeb wakacyjnych, pomieszczą wygodnie dwie normalne walizy.

Wyjeżdżając nad morze, lub w góry, przekreślamy konieczność stosowania przez większą część dnia tych form, które obowiązują w mieście. I tak do godziny piątej po południu chodzimy tylko w t. zw. kombinacjach, które w dnie upalne ograniczają się do koszulki „polo" i spodni z flaneli, płótna, kortu lub gabardyny, a w dnie chłodniejsze dochodzi jeszcze marynarka, w jaśniejszym niż spodnie kolorze. Krój jej powinien być prosty, bez żadnych kontrafałdów, dragonów i wypustek, a jedynie z dwoma rozcięciami na bocznych szwach. Kto jest zwolennikiem nakładanych kieszeni, ten może je kazać sobie zrobić, ale tylko przy materjale w kratę lub fishgret. Koszulki, nazwane „polo" dlatego, ponieważ ten krój z krótkiemi rękawkami używany jest przez graczy w polo, ożywiły ostatnio kolorowe desenie. Najczęściej spotykane, to poprzeczne pasy w dwóch, lub trzech barwach.

O godzinie 5-tej zaczyna się „oficjalna" część dnia i wówczas obowiązuje normalne ubranie marynarkowe, ciemno-popielate, lub granatowe, w którem wybieramy się na five. Wieczór — jeśli mowa o renomowanem kąpielisku — smoking obejmuje władztwo, tylko bez sztywnego gorsu, który z powodzeniem zastąpi odpowiednia miękka koszula z wymaganym w tym wypadku sztywnym kołnierzykiem wykładanym.

Bucików trzeba zabrać jak najwięcej i to przedewszystkiem te, które nosić możemy do kombinacyj, a więc płócienne i zamszowe w różne odmiany.

Brummel



Podczas wakacyj nosi się przeważnie tylko kombinacje sportowe, w których dominującą rolę odgrywają różnego rodzaju koszulki swetry, utrzymane w żywych kolorach...



Na prawo: Wyjazd z miasta nie jest jeszcze identyczny z wyrzeczeniem się stroju, będącego we wszystkich swych szczegółach wzorem elegancji...

Pani JEDZIE NAD MORZE...





Efektowny strój plażowy, złożony z płaszcza z haftowanego płótna, okrycia głowy z gazy i trójbarwnej parasolki.
Fot. Imre v. Santo.

Prawdziwie upalna pogoda, jaką darzy nas druga połowa czerwca, wypędza nas z dusznych miast nad morze. Gorączka wyjazdu szerzy się jak zaraza; wszyscy cisną się do biur podróży, zakupują niezbędne do letniego wyjazdu przybory, pakują kuferki, byle prędzej wydostać się z rozgrzanych murów.

Piękna pani ma przed sobą poważny problem: co zabrać ze sobą, aby w żadnej sytuacji nie być zmuszoną stwierdzić: „nie mam co na siebie włożyć“, a z drugiej strony do minimum ograniczyć rozmiary bagażów? A jednak trzeba mieć ze sobą wszystko co może być potrzebne, aby móc stosownie się ubrać przedpołudniem na plaży, popołudniu na wycieczkę samochodową, czy pieszy spacer, wieczorem na dancing czy do kawiarni.

Zestawienie takiego „menu“ tualetowego, które pozwoliłoby o każdej porze być modną i elegancką, a zabierało jak najmniej miejsca w kuferkach, nie jest wcale takie łatwe. Dlatego damy naszym Czytelniczkom zasadnicze wskazówki, które pozwolą im zorjentować się w tem trudnem zagadnieniu.



Na lewo: Różne modele praktycznych plażowych pantofli i sandałów, zrobionych z łyka, lub też drzewa.
Keystone — Berlin.

PRZED POŁUDNIEM NA PLAŻY NIEZBĘDNE SĄ:



KOSTJUM KĄPIELOWY z grubego, odpornego na wodę trykotu z wełny, lasteksu, przetykanego z jedwabiem. Shorty z białego lub granatowego płótna z odpowiednią koszulkową bluzeczką lub barwnym „bain de soleil“, tak praktycznym do opalania się na słońcu. Suknia-płaszcz z kolorowego kretonu, piki lub płótna wygodna do wkładania na shorty czy kąpielowy trykot, zapinany na guziki od góry do dołu.



SANDAŁY z rafji, sznurka, pasków płóciennych lub słomianych.



KAPELUSZ plażowy duży i lekki tak, aby ocieniał od słońca, a nie uciskał: chiński, meksykański czy inny.



AKCESORJA, jak gumowe pantofelki kąpielowe, gumowa czapka, kolorowe paski, okulary od słońca, parasolka, harmonizująca z suknią plażową, torba plażowa z płótna.

POPOŁUDNIU NA HERBATĘ W KAWIARNI, WYCIECZKĘ AUTOMOBILOWĄ CZY PIESZĄ MUSIMY MIEĆ:



SUKNIE w typie „petite robe“ o sportowym kroju, dosyć krótką, rozszerzoną dołem fałdami, z shantungu, płótna, piki, lub lekkiego bawełnianego jersey'u, bądź w jasnym jednolitym kolorze, bądź w groszki, kratkę lub najmodniejsze dziś paski. Suknię taką zastąpić nam może kostjumik z podobnych lekkich materjałów. — Okryciem najpraktyczniejszem będzie lekki płaszczyk z surowego jedwabiu lub wełno-lnu, na chłodniejsze nieco dnie z białej wełny, lekkiej a puszystej.



PANTOFELKI lub półbuciki z białego zamszu, obkładanego żółtą lub granatową skórą, z płótna na grubej korkowej podeszwie lub miękiej skóry, muszą być przedewszystkiem wygodne.



KAPELUSZ zastąpi barwny berecik lub czapeczka, a nawet siatka, może być lekka panama, lub zgrabny „canotier“ z naturalnej słomy, zw. „paillasson“.



AKCESORJA w postaci barwnego szalika, dobranego do sukni lub kwiatu do butonierki żakietu, przyczyniają się do wykończenia stroju.





Powyżej: Dwuczęściowa letnia suknia z różowej divetiny, haftowanej w kwiaty, kapelusz słomkowy.

Studio Dorvyne — Paryż.



Na prawo: Wieczorowa suknia z gazy w kolorowe kwiaty, nadająca się do wyjścia, na dancing czy do kawiarni.

NA WIECZÓR W MODNEJ KAWIARNI CZY KASYNIE TRZEBA MIEĆ:



SUKNIĘ wieczorową o zdecydowanym letnim charakterze, a więc z wzorzystej gazy (nie mnie się w kuferku i zabiera mało miejsca) z białego angielskiego batystu ażurowo haftowanego, z piki, a nawet płótna lub pięknego kretonu. Okrycie z tego samego materjału, co suknia w postaci długiej peleryny, krótkiego, marszczonego cape'u z tiulu, bolerka lub trzyćwierciowego płaszczyka z szerokiemi rękawami.



SANDAŁKI wieczorowe z wąskich paseczków skórzanych lub jedwabnych.



KAPELUSZ zastąpimy pękiem kwiatów na wąskiej wstążce lub aksamitce, albo nawet kolorową wstążką ładnie w kokardę związaną. Torebka do wieczorowej sukni to najmodniejszy dziś woreczek z pastelowego zamszu, zamykający się pękiem kwiatów, tych samych, co we włosach lub przy sukni.



AKCESORJA. Drobiazgi w postaci biżuterji, wachlarza, długich tiulowych lub siatkowych rekawiczek, bukieciku kwiatów, przywiązanych w przegubie dłoni wąską aksamitką, dużej gazowej chustki, ozdobionej stylizowanym inicjałem — zależą od naszej fantazji i upodobania. Ponieważ pogoda bywa nieraz kapryśna i w ciągu naszego pobytu nad morzem trafią się napewno deszczowe dnie, kiedy nie można korzystać z plaży, ani ze spaceru, musimy mieć ze sobą również jedną suknię z lekkiej wełny lub jersey'u, który przyda się do jedynej przed niepogodą ucieczki — bridge'a. Nie zawadzi też wsunąć do kuferka lekki płaszcz od deszczu z impregnowanego jedwabiu. Tak skompletowana garderoba pozwoli nam zawsze być stosownie i elegancko ubraną.

Lady Like

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA POZIOMKOWA. Dwie filiżanki poziomek zasypuje się paru łyżkami cukru i odstawia na godzinę lub więcej. Pół litra wody z szklaneczką wina i paru sucharkami zagotowuje się, przeciera, ostudza i miesza z roztartemi poziomkami. W miejsce sucharków można zupę zagęścić łyżką mąki ryżowej lub ziemniaczanej. Idzie tu głównie o to, aby poziomek **nie gotować,** gdyż często się **zdarza,** że zupa wtedy **zgorzknieje.** Śmietanę dla amatorów dodać można surową, zalewając ją już w wazie gotującą zupą zagęszczoną, poziomki zaś dodać należy na ostatku, do zupy już wystudzonej. Słodkie grzaneczki z cwibaku, jako dodatek.

SAŁATA GŁOWIASTA Z MIZERJĄ. Średniej wielkości ogórek obrany i posolony, szatkuje się na cienkie płatki, posypuje solą i cukrem, zalewa octem lub sokiem cytrynowym, przykrywa i odstawia aż do obiadu. Parę zupełnie jasnych środków silnie zwiniętej sałaty głowiastej płócze się dokładnie pod kranem wodociągowym, osącza, wytrząsając ją w serwecie, następnie kraje się ją w ćwiartki, układa na salaterce i tuż przed wydaniem na stół miesza się z odstawionemi poprzednio ogórkami, wraz z powstałym w nich sokiem, kontrolując, czy dość pikantne, ewentualnie można dosolić i dodać parę łyżek śmietany. Ta ostatnia tylko dla amatorów.

GOŁĘBIE LUB KURCZĘTA W GARNITURZE Z RAKÓW. Parę kurcząt lub większą ilość gołębi dusi się z masłem i odrobiną gałki muszkatułowej, poczem zaprósza się sos mąką, podlewa rosołem i dodusza w tym sosie drób, pokrajany na ćwiartki. W międzyczasie gotuje się trochę szparagów i ładny kalafjor. Niedogotowane jarzyny te dodaje się do drobiu, aby z nim razem „doszły", lecz pozostały w całości, tj. nie rozpadły się. 10 raków gotuje się przez 15 minut, potem się je rozbiera. Szyjki odkłada się do ubrania półmiska, skorupki również do nadziewania. Resztę drobnych skorupek tłucze się i dusi z łyżką masła, poczem wydobywa się masło przez zastudzenie w wodzie. Zebrane z wody masło rakowe, miesza się z siekanem mięsem z szczypców, dodaje trochę tartej bułki, 1 jaje, łyżkę śmietany i troszkę soli. Farszem tym napełnia się skorupki i gotuje w rosole. Wyłożone na półmisek ćwiartki drobiu, okłada się jarzynkami i francuskiemi kluseczkami, następnie przybiera szyjkami raczemi i nadzianemi skorupkami. Półmisek wygląda bardzo apetycznie. Potrawa ta nadaje się jako eleganckie danie na śniadanie lub kolację.

KALAREPKA. Młodą kalarepkę obiera się, kraje w plastry, grubości grzbietu noża, gotuje w słonej wodzie, odcedza i podaje polane rumianem masłem z bułeczką. Również smaczną jest kalarepka pokrajana drobno, uduszona z masłem i troszką cukru i soli, wkońcu podprawiona paru łyżkami śmietany roztrzepanej z łyżeczką mąki.

SOS Z SUROWYCH OGÓRKÓW. Pokrajany drobno surowy ogórek, zagotowuje się szybko w sosie, sporządzonym w poniżej podany sposób i wydaje do drobiu lub pieczeni cielęcej. **Sos:** Łyżkę masła i tyleż mąki zagotowuje się razem, zalewa ósemką śmietany i rozprowadza rosołem. Następnie nadaje się smak solą, cukrem i sokiem cytrynowym oraz garstką siekanej, zielonej pietruszki i kopru. Pokrajany ogórek musi być szybko w sosie zagotowany i natychmiast wydany, inaczej traci smak i wygląd.

PIANKA Z POZIOMEK. Pół litra poziomek przeciera się przez włosiane sito, dodaje 10 dkg mączki cukrowej i 1 duże białko. Nową drewnianą łyżką lub porcelanowym grzybkiem uciera się masę tak długo, aż utworzy się gęsta, bardzo sztywna, różowa pianka. Na kryształowym talerzu układa się piankę kopiato, posypuje wybranemi poziomkami i kryształowym cukrem, zamraża na lodzie i wydaje z kruchemi ciastkami. — Pianką tą można również przekładać torteletki z francuskiego ciasta, lub napełniać kruche babeczki.

NAPÓJ CHŁODZĄCY. Do zabierania w termoforach na wycieczki nadaje się następujący napój: Do czystego, kamiennego naczynia, w którem nigdy tłuszczów nie gotowano, wsypuje się 2 dkg aromatycznej herbaty, dodaje 15 kostek cukru, wciska sok z całej cytryny lub wsypuje 5 gramów kwasku **cytrynowego** (nie winnego), wkłada kawałek łupki cytrynowej lub pomarańczowej i zalewa pół litrem **wrzącej** wody. Naczynie, przykryte szczelnie, odstawia się na 2 godziny. Płyn ten po przecedzeniu rozprowadza się wodą gotowaną lub też zabiera ze sobą, jako extrakt i dodaje do wody przy napotkałem w czasie wędrówki źródle. Ze względów zdrowotnych, szczególnie dla dzieci, zaleca się zabieranie rozcieńczonego, już gotowego do picia napoju, który zamrożony na lodzie trzyma się w termoforze bardzo chłodno.

POLEWĘ CZEKOLADOWĄ do tego tortu sporządza się w ten sposób: 10 dkg cukru i 5 łyżek wody gotuje się na gęsty syrop „do małej perełki", tj. tak długo, aż na powierzchni cukru występują drobne banieczki, jak perełki. Osobno rozmiękcza się 12 dkg czekolady blokowej i łączy z syropem, który należy wśród ucierania po trosze do czekolady dolewać. Wkońcu dodaje się łyżeczkę masła deserowego, miesza i szybko tort oblewa. Polewa łatwo twardnie, dlatego należałoby trzymać ją w drugiem naczyniu z gorącą wodą.

Sc. Ko.

PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI W GOSPODARSTWIE DOMOWEM



Zniszczone torebki skórzane odświeża się z dobrym skutkiem w następujący sposób: przemywa się torebkę wpierw letnią wodą z odrobiną octu, następnie po lekkiem wysuszeniu miękkiem suknem nakłada się na powierzchnię skóry pianę ubitą z białka i wymięszaną z niewielką ilością terpentyny, wycierając następnie do sucha miękkim gałgankiem.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.



Tydzień 28	**Lipiec** — 31 dni
NIEDZIELA **3** Alfreda	Chłodnik lub mrożony bulion. Sałatka włoska na muszelkach. Kurczęta w garniturze. Napoleonki. Kolacja: Szynka-sos tatarski.
PONIEDZ. **4** Józefa Kalasant.	Zupa koprowa na śmietanie. Omlety z groszkiem zielonym. Siekane sznycelki cielęce z marchewką i sałatą. Poziomki z śmietaną. Kolacja: Nowe ziemniaczki z kefirem.
WTOREK **5** Filomeny	Chłodnik z czarnych jagód z słodkiemi grzankami. Kalarepka duszona z śmietaną. Gołąbki nadziewane z sałatą i mizerją. Krem agrestowy. Kolacja: Młoda maślanka z kaszą.
ŚRODA **6** Izajasza pr.	Zupa z zielonego groszku z płatkami. Knedel serowy z grysikiem/serwetowy/. Naturalne sznycle z mizerją lub głąbikami. Mieszany kompot z surowych owoców. Kolacja: Pierożki z czarnych jagód ze śmietaną.
CZWARTEK **7** Cyryla i Metod.	Kalafior w miejsce zupy. Rizotto z groszkiem zielonym. Prędkie rozbratle z sałatą mieszaną. Krem cytrynowy. Kolacja: Budyń szpinakowy.
PIĄTEK **8** Elżbiety kr.	Barszcz buraczkowy z twardym jajem. Makaron z serem. Pstrągi na niebiesko z ziemniaczkami. Strudel z jagodami. Kolacja: Młoda kapusta duszona w śmietanie.
SOBOTA **9** ...uizy, Weron.	Zupa wiśniowa z grzankami. Marchewka z groszkiem i krokietkami. Kalafiorki z jarzynkami. Placek drożdżowy z jagodami. Kolacja: Grzybki w śmietanie.



Humor niesamowity.



Burza nad domkiem weekendowym.
Rys. O. Starke.



Chwila nieuwagi robotnika drogowego.
Rys. H. M. Bateman.



Pierwszy występ.
Rys. A. Jarosy.



Szkot otrzymał nakaz płatniczy.
Rys. H. M. Bateman.



Ciche szczęście.
Rys. Martin Koser.



Obsesja pijaka.
Rys. Ch. Girod.

Ludzie lubią się śmiać w rozmaitych tonacjach.

Dobra karykatura pobudzająca do śmiechu jest rzadkim a nader cenionym towarem na wydawniczym rynku z tej i tamtej strony oceanu.

Zasadą karykatury, jak wskazuje nazwa pochodząca z włoskiego „caricare" — jest przesada, przeładowanie w rysunku charakterystycznych cech ludzi i przedmiotów.

Ostrze karykatury tkwi nietylko w rysunku, będącym dowcipną syntezą charakterystycznych cech, lecz również w wynajdywaniu fantastycznych sytuacyj malujących jaskrawo dane środowisko.

Istnieje kategorja humorystów wysilających swą fantazję w kierunku groteskowego przedstawiania niesamowitych scen i drastycznych kontrastowych zestawień, ośmieszających przywary ludzkości. W tego rodzaju rysunkach celują amerykańscy i angielscy karykaturzyści, ożywiający swym talentem stronice angielskich i amerykańskich magazynów.

Z takiej złotej serji niesamowitych rysunków dajemy naszym Czytelnikom kilka a między niemi świetny, przedstawiający współczesnego człowieka, który potrafił, nawet wśród huku i świstu przelatujących obok niego pociągów stworzyć sobie „idyliczne" eldorado domowego zacisza.

mdd.

Rozwiązania Nru z 26-go.

ROZWIĄZANIE.

Zofja 34 lat, Jan 25, Adam 19, Helena 21.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

TOTALIZATOR.

Kilkunastu znajomych zorganizowało totalizator na mecz Polska—Brazylja. Zwycięzca konkursu inkasując wygraną powiedział:
— Pokonałem wszystkich, przewidując, że tyle bramek padnie ilu nas stawiało za Brazylją. Mój najgroźniejszy przeciwnik sądził, że padnie razem tyle goli, ilu było zwolenników Polski, więc wygrałem tyle stawek, ile razem strzelono bramek w meczu. Ile mogło być kombinacyj wyników (zwycięzców) i które mogły rzeczywiście mieć miejsce?

JEJ SKRUPUŁY.

— Dlaczego Kasia płacze?

— Bo mój narzeczony.,. huuu... mój narzeczony.... idzie do wojska!

— Niech się Kasia uspokoi! Gdy wróci, będzie go Kasia miała już na zawsze.

— Ale gdzie tam! Właśnie dlatego płaczę, bo wiem, że do tego czasu będę miała już dawno innego!

WŁAŚCIWA OCENA.

— Tak, tak, wartość człowieka poznaje się dopiero po jego śmierci!

— Oj, to prawda, moja pani! Gdzieżbym ja przypuszczała za życia mojego Walusia, że mnie tak wysoko ubezpieczył!

O tak! – to warto

przeczytać... zobaczyć... usłyszeć...



NOWE KSIĄŻKI.

„Marjonetki" Stefan Otwinowski. (F. Hoesick). Nowy utwór autora, który przed dwoma niespełna laty debjutował powieścią „Życie trwa cztery dni". Powieść „Marjonetki" to konfrontacja życia teatru, świata kulis z życiem „normalnem". „Czemże się tak różnimy od ludzi i życia unormowanego" — zapytuje jeden z aktorów w „Marjonetkach". „Dzieli nas nietylko program życiowy, nie będę się odwoływał do psychologji, ale praktycznie uważam, że nic tak szybko nie organizuje człowieka w profesjonalizmie, jak ustalony plan dnia i nocy. To, że pracujemy w innej porze, to, że posługujemy się innym systemem pracy — to choćby zamyka nas w naszym gatunku".

Autor już w poprzednim swym utworze zdradził zamiłowanie do skomplikowanego wiązania wątków beletrystycznych, subtelnego zazębienia fabuły, którą traktuje jako surowy podkład, jako jeden z czynników konstrukcyjnych dzieła.

W „Marjonetkach" splatają się ze sobą dwa nurty narracyjne: przeżycia aktorów i historja pisarza prowentowego, Myszaka. Autor z dużą dozą sugestywnej siły opisuje występy artystyczne w teatrzyku-variété „Domino".

„Dopiero po kilku dalszych dniach zorjentowałem się — pisze Otwinowski o ludziach teatru — że cały ten światek, który otoczył mnie teraz, wszyscy tutejsi posługują się zamkniętą i własną formą, zautomatyzowanym stylem współżycia"... Wszystko, co się wokół mnie działo i rozwijało — działo się niejako naprzekór naturze, bez światła i bez powietrza, w sposób zastępczy i właśnie autonomiczny. Wymiary i gwarancje sztucznie stworzone ograniczać się musiały do wielkości sposobu i dlatego nie mogły mieć nic wspólnego z przyrodą wielkiego, wspaniałego świata, który — czułem przecież — był wszędzie ponad nami, wokół nas, tylko nie tutaj".

Jak widzimy, autor mocno akcentuje przymusową niejako odrębność świata kulis. Nie znaczy to, aby artyści żyli jedynie swoją sztuką, żeby nie widzieli nic poza nią. Żyjąc w zamkniętym świecie fikcji — czują nieraz potrzebę innego sposobu wyżycia się, wyładowania sił życiowych.

Na tem tle powstają ciekawe konflikty. Autor rzuca snop światła właśnie na sprawy. Nie idzie mu przytem o jakieś wnioski, formuły filozoficzne, tylko o oddanie niezwykłej atmosfery, w jakiej obracają się ludzie teatru.

J. J.

A. J. Cronin. „Gwiazdy patrzą na nas". Tom II. Wydanie J. Przeworskiego. Cronin jest autorem, który w ojczyźnie swej, Anglji, cieszy się uznaniem, i co zatem idzie, ogromną poczytnością. Ostatnia książka tego autora osiągnęła olbrzymi — nawet jak na angielskie stosunki nakład, ponad 2 miljony egzemplarzy.

Drugi i ostatni tom powieści Cronina, przetłumaczonej obecnie na język polski pt.: „Gwiazdy patrzą na nas" — daje możność czytelnikowi zaznajomienia się z tym wielkim talentem pisarskim i jego wartościami.

Historja rodziny Fenwicków, którą daje wspomniana powieść, dokonuje się na tle sporego okresu czasu, który przeorał świat angielski, stworzył ludzi, by innych zniweczyć i nieliczne tylko jednostki pozostawić na ich dawnych miejscach. Historja Fenwicków wraz z precyzyjnie odtworzonem, szeroko zakrojonem tłem, na którem porusza się mnóstwo postaci — to mały wycinek historji Anglji.

Dziś mając przed sobą oba już tomy powieści „Gwiazdy patrzą na nas", — a więc znając całość, można zaliczyć utwór ten do najlepszych pozycyj wśród zagranicznych nowości tłumaczonych na język polski. **b.**

Jo Van Ammers-Kueller: „Patrjoci". Lwów-Warszawa, „Książnica-Atlas" Chociaż **„Patrjoci"** są powieścią historyczną (opisuje w niej słynna autorka holenderska, **Jo van Ammers-Kueller,** dzieje patrycjuszowskiej rodziny burmistrza Tavelincka, jednego z regentów Amsterdamu, pod koniec 18-ego stulecia), czyta się tę książkę jak najwspółcześniejszą powieść. Pisana jakby skandynawską manjerą, przeładowana jednak jest ta książka treścią — w pozornie szarych nieraz ramach wciąż się dzieje coś ważnego, a w tej atmosferze nawet na oko nieważne sprawy nabierają znaczenia pierwszorzędnych. Tło historyczne — zmaganie się dwu partyj w Amsterdamie: profrancuskiej z proangielską, epoka, nastrój, typy, obyczaj — to wszystko oddane jest z drobiazgową wiernością, przyczem na pierwszym planie wyszczególniła autorka „Portretów kobiet wybitnych" role kobiece. Ta prawda historyczno-obyczajowa nie ciąży jednak nad tą powieścią, pełną polotu, tak jak analizowanie psychologji bohaterów, wnikliwe a bystre, nie zamazuje wcale ich rumieńców żywych postaci. Wydana pięknie przez **„Książnicę-Atlas",** jest to książka nieprzeciętna zarówno dla miłośników i znawców, jak też dla „szerokich kół czytelników, stanowiąc pociągającą lekturę.

W. Z.

NA SCENIE.

POZNAŃ. W Teatrze Polskim wystawiono znaną sztukę włoskiego autora G. Forzana **„Dar poranka"** w przekładzie p. Zofji Jachimeckiej. W roli głównej ujrzeliśmy Jadwigę Zaklicką, która zagrała ją z ujmującym wdziękiem, roztaczając zasoby swego talentu i urody. Partnerem jej był p. Mrożewski. Inne role wykonali pp. Bystrzyński, Rostan, Młodnicki, Jaworski, Konarski. Reżyserował p. Strzelecki. Dekoracje projektował p. Szpingier.

LWÓW. W Teatrze Wielkim zaprezentowano komedję muzyczną **„Król włóczęgów",** w którym wystąpili: p. Szoławski, pani Kaupe, tenor p. Raczkowski, pp. Borowy, Zintel, Chaniecka, Górska, Szymański, Baryka i Pitołajówna. **J. J.**

NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA.

Niedziela, 3 lipca.

12.03 „Serenady" — poranek muzyczny z Łodzi.
16.20 Komedje Aleks. Fredry — wieczór IX: „Mąż i żona"
17.20 Recital fortepianowy Józefa Turczyńskiego.
18.00 „Podróż po Warszawie" — wodewil.
19.30 Tygodnik dźwiękowy.
21.00 „Ta-joj" — wesoła audycja ze Lwowa.

Poniedziałek, 4 lipca.

16.00 „Kompozytorzy Północy" — koncert.
16.45 „Galapagos" — feljeton.
18.10 Koncert muzyki amerykańskiej (w dzień święta narod. Stanów Zjednoczonych).
19.30 Stare fraszki i nowe melodje — aud. muzycz.-słowna.
22.00 Pięć wieków dawnej muzyki — Muzyla religijna XVI. wieku.

Wtorek, 5 lipca.

16.00 Koncert Orkiestry Rozgłośni Wileńskiej.
19.00 Recital śpiewaczy Heleny Lipowskiej.
19.30 „Na balu z przed ćwierć wieku" — koncert rozrywkowy.
21.10 Koncert chórów regjonalnych nagrodzonych na Konkursie Polskiego Radja.

Środa, 6 lipca.

16.00 Małe rewje muzyczne.
18.10 Recital klarnetowy Ludwika Kurkiewicza.
19.00 Lekkie piosenki w wykonaniu Wandy Wermińskiej.
19.30 „W góry, w góry miły bracie" — koncert.
21.10 „Chopin a polska ziemia" — „Armaty wśród kwiatów".

Czwartek, 7 lipca.

16.00 Koncert w wyk. Orkiestry rozrywkowej.
18.16 Recital śpiewaczy Michała Zabejdy-Sumickiego.
18.30 „Powodzenie" — premjera słuchowisko.
19.00 Laureat Państwowego Konserwatorjum Warszawskiego Leon Miklaszewski wykona Sonatę Beethovena Es-Dur".
19.30 „Echa przeszłości" — koncert rozrywkowy.
22.00 Robert Volkmann: Trio b moll op. 5.

Piątek, 8 lipca.

18.10 Koncert solistów — muzyka na dwoje skrzypiec i fortepian.
19.00 Pieśni w wykon. Franciszki Platówny.
19.30 „Ameryka na wesoło", koncert.
21.10 „Trubadury przedmieścia" — lekka audycja muzyczna.
22.00 Muzyka operowa.

Sobota, 9 lipca.

16.00 „Wśród melodyj rumuńskich" — reportaż muzycz.
18.10 Ciekawe nagrania płytowe.
19.00 Utwory Ignacego Paderewskiego w wyk. A. Brachockiego.
19.30 Humor w pieśniach Stanisława Moniuszki — koncert.
21.10 Polska Kapela Ludowa F. Dzierżanowskiego.
22.00 Godzina niespodzianek.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.